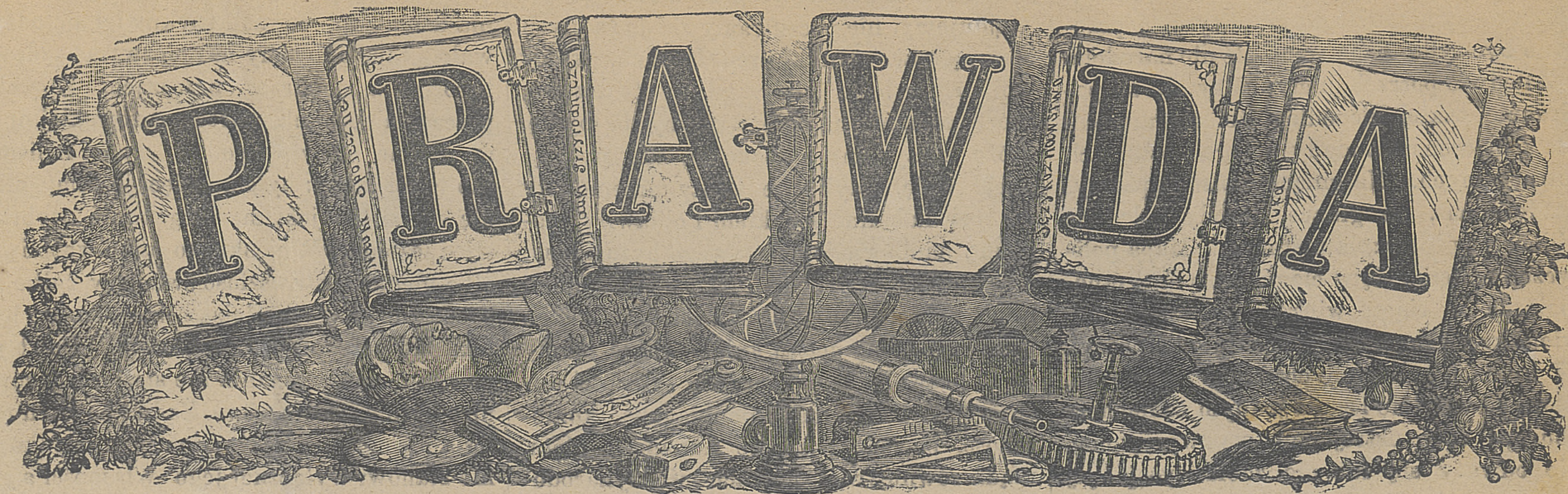
№ 1. Warszawa dnia 1 Stycznia (20 Grudnia) 1881 r. **Rok I.**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Królewska Nr. 4.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę: przyjmują Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ; Od Redakcyi. — Myślę—więc jestem. — Zmarnowane strzały. — Rozszczepianie pracy. — Ruch roślin. — Z Galicyi. — Z Niemiec. — Liberum Veto. — Piśmiennictwo polskie.—Naukowe wyniki postu Tannera.—Tydzień polityczny.—Kronika bieżąca.—Na pogrzebie.—Ogłoszenia.

OD REDAKCYI.

U progu tego nowozałożonego ogniska polskiej myśli witamy naszych szanownych czytelników, którzy zgromadzili się około nas w imię *Prawdy*, w imię niepodległej wiedzy, swobody przekonań, oświaty, dobrobytu ogólno - ludzkich i narodowych praw, w imię powszechnej i naszej własnej cywilizacyi. Dziś nie możemy powołać się na nic, prócz na szczerą chęć służenia ogółowi rozumnie i uczciwie. I dla tego, pozostawiając przyszłym czynom prawo świadczenia o spełnieniu i wartości naszych zamiarów, obecnie uwiadamiamy tylko, że *abonenci Prawdy, zgodnie z zapowiedzią prospektu, przy końcu bieżącego kwartału otrzymają jako bezpłatny dodatek pierwszą część dzieła Pypina:*

Sprawa polska w literaturze rossyjskiej.

następnie zaś damy w takichże odstępach słynne, czterotomowe dzieło G. Brandesa:

Główne prądy literatury europejskiej XIX w.

Ponieważ zakupiona przez nas po cenie kosztu dla abonentów *Prawdy* liczba egzemplarzy *Historyi Filozofii* Langego została już rozebraną, zatem nowoprzybywającym od dziś prenumeratorom nie możemy dzieła tego dostarczyć po rs. 4 k. 50. Wyjednaliśmy wszakże od wydawcy nową obniżkę, mianowicie z rs. 7 na rs. 5 i po tej cenie abonenci *Prawdy* mogą wspomnianą książkę z przesyłką nabyć. Szczegóły w ogłoszeniu.

MYŚLĘ — WIĘC JESTEM.

Historycznie i praktycznie ma słuszność tylko żyjący
T. Mommsen.

Gdy wielki racyonalista francuski, rozdarłszy wątpieniem całą budowę wiedzy, szukał jak Archimedes jednego niewzruszonego punktu, na którymby mógł oprzeć filozoficzną dźwignię poznania i wiarę w własny byt, nie znalazł nic pewniejszego nad dowód swej myśli. *Myślę, więc jestem*— wniosek ten był jedynym jasnym promieniem, rozświecającym mu bezgraniczną noc wątpień. Myśląc, że jestem—mówił on— stwierdzam tem myśleniem, że jestem rzeczywiście. Nietylko badawcze jednostki, ale i całe narody, zastanawiające się nad sobą głębiej, dochodzą nieraz do zupełnego zwątpienia o własnym bycie i szukają jakiegoś pewnego faktu, któryby je przekonał o ich *rzeczywistem* istnieniu i na którymby one mogły oprzeć swoją filozofię praktyczną— swoją politykę. Czy wtedy i dla nich jedynym dowodem jest myślenie a jedyną pociechą wyprowadzony zeń wniosek: *myślę, więc jestem?*

Wystawmy sobie, że na miejscu obecnych Czech rozpościera się tysiąc razy liczniejsze, wielkie mocarstwo irokezów, które posiada potężną armię, ale które nie ma żadnej bogatej i dojrzałej literatury, nauki, sztuki, przemysłu, wyższych urządzeń społecznych, słowem znajduje się na stopniu rozwoju plemienia amerykańskiego tej nazwy; czy mocarstwo takie mogłoby powiedzieć sobie, że istnieje? Zapewnie, dopókiby jego pułki zdołały odeprzeć wszelkie napady i utrzymać niepodległość barbarzyńskiej massy. Gdyby wszakże sąsiedzi zgromadzili jeszcze liczniejsze wojsko i zwyciężyli ową gromadę, przestałaby ona odrazu istnieć, bo nie posiadałaby innych środków do utrzymania swego odrębnego bytu. Co obroniło Francyę po klęskach Sedanu i Metzu? Czy rozbita armia, która nie mogła nawet drgnąć silniej dla odparcia nieprzyjaciela? Niemcy opanowali cały kraj; dla czegóż w nim nie pozostali i zadowolnili się dwiema prowincyami? Co ich do tego zmusiło? Tylko potęga duchowa zwyciężonego narodu, który straciwszy nawet co do jednego żołnierza, nie traci praw bytu. Cała Europa orężnie i moralnie oparłaby się wcieleniu Francyi do Niemiec a jednakże taż sama Europa nie czuła żadnej zgrozy, przypatrując się spółcześnie równym terytoryalnym zaborom Anglii w Azyi i Afryce i wcale nie uważa za dziwne, że 23 miliony anglików panują nad 190 milionami indusów. Nie przesadzimy twierdząc, że przyłączenie Belgii do Niemiec uznanoby za większy gwałt, niż przyłączenie czterysta razy od niej większych Chin do Japonii. Gdyby tak było, jak głoszą mściciele idealnych krzywd ludzkości i pogromcy mniemanej zasady naszego wieku — „siły przed prawem," Szwajcarya, Belgia, Niderlandy nie ostałyby się ani jednej doby wobec swych sąsiadów. Dopóki zaś istnieje w Europie niepodległe księstwo Monaco, którego całe terytoryum mieści się na małej kartce fotograficznej, dopóty wierzyć musimy, że armia nie rozstrzyga o bycie *narodu.*

Nie rozstrzyga również i jego stanowisko państwowe. Jak wiadomo, mapa polityczna nie jest mapą etnologiczną. Na pierwszej z nich widzimy takie narody, które istnieją tylko nominalnie, a nie spotykamy takich, które istnieją faktycznie. Mapa np. polityczna zakreśla odrębne miejsce narodowi austryackiemu, którego genealogia ludów wcale nie zna, podczas gdy w obrębie owej Austryi nie wykazuje polskiego lub rusińskiego, których bytu nikt nie zaprzeczy. Niezależność państwowa jest—że tak powiemy—tytułem, urzędem, który można postradać bez postradania właściwych cech swojej istoty. Król, pozbawiony tronu, przestaje być tylko kró-

m, nie zaś człowiekiem; podobnie i naród, ozbawiony niepodległości politycznej, przestaje być tylko państwem, ale nie narodem. Zaledwie potrzebujemy dodawać, że posiadanie takiej niepodległości nie ubezpiecza społeczeństwa nigdy w jego stosunkach wnętrznych. Na ginące państwa patrzył każdy z nas, na ginące narody zaledwie kilka razy patrzyła historya. Mapa polityczna zmienia się w ciągu lat, mapa etnograficzna w ciągu wieków; pierwszą bo-iem kreśli oręż, drugą środki cywilizacyi. W wojnach politycznych strona zwycięzka, która odważy się i zdoła jednym zamachem burzyć cały ustrój państwa zwyciężonej, e odważy się lub nie zdoła wytępić jej narodowości. Bardzo łatwo możemy sobie wyobrazić wypadek, w którym Francya wojowałaby Hiszpanię, wprowadziłaby niej swój rząd i swoją administracyę; e trudno przypuścić, ażeby zarazem zgiął natychmiast język hiszpanów, ich literatura, przemysł i sztuki.

Czy dzieje rodu ludzkiego pojmiemy Hobbesem jako „walkę wszystkich ze szystkimi," czy z Darwinem jako „walkę o byt," zawsze dojdziemy do tego przekonania, że one są walką. W walce ś tej, w której śród niższych istot stworzenia lub na niższych stopniach człowieczego rozwoju występują tylko siły fizyczne, na wyższym, na jakim znajduje się cywilizacya europejska, przyjmują udział najczęściej zwyciężają czynniki duchowe. ygrys zjada owcę, bo ją zadusić może; szman zabija holendra, gdy go na ziemię owali; ale francuzi nie ujarzmią szwajcarów, chociażby ich pokonać mogli. Najzamliwsza to ze zniewag, jakiemi wiek asz zelżono, że on przyznaje prawo tylko utalnej sile. Bezspornie, splamił on się teraz tą winą, jest ona wszakże wyrzutem go sumienia, nie zaś sumieniem. Mimo szystkich nadużyć, które popełniamy bądź jako jednostki, bądź jako społeczeństwa, uczucia nasze, zasady i czyny szanują ciągle majestat ducha. Gdzie go nie znajdujemy, nie poczuwamy się do żadnych obowiązków. Gdyby ten kamień, który wbijamy w bruk ulicy, gdyby to drzewo, które ścinamy na ogień, gdyby to bydlę, które zarzynamy na pokarm, nie pytając o ich wolę, gdyby te istoty przemówiły do nas ludzkim językiem i objawiły podobną nam świadomość swego bytu i losu, z pewnością wstrzymalibyśmy nad niemi młot, siekierę lub nóż. Bo dla czegóż jeleń pada ugodzony naszą kulą? Jakie mamy na to prawo? Tylko prawo wyższości duchowej. Taż sama nieubłagana konieczność, chociaż pozornie łamana i gięta, rządzi również w stosunkach międzynarodowych. W maleńką kotlinę starożytnej Grecyi wlał się i zatopił ją ocean wschodniego i północnego barbarzyństwa, a jednak ona, jak latarnia wzniesiona po nad tym morzem, przez długi szereg wieków przyświecała Europie, a nawet przyświeca dotąd.

Nie przeczymy, że człowiek z rewolwerem w kieszeni jest bezpieczniejszy od napaści niż z rozumem w głowie; nie znaczy to jednak, ażeby pozbawiony rewolweru czuł się pozbawionym życia. Tak, roślina potrzebuje pewnego powietrza, pewnego ciepła i wilgoci; ale to powietrze, to ciepło i wilgoć nie stanowią jej istoty. Jeśli tylko nie będzie wyrwana z korzeniem i przesadzona na grunt inny, może w zmienionych warunkach atmosfery rosnąć i kwitnąć.

Doszliśmy do wniosku. Nie na zewnętrznych środkach samodzielności politycznej spoczywa istnienie ludów; naród zatem, który politycznie samodzielnym być przestał, który skutkiem tego zwątpił o swojem istnieniu, jeśli tylko rozwinął swoje siły duchowe i uzdolnienia do najwyższej ich miary, jeśli jego dorobek duchowy przedstawia poważne zasoby cywilizacyjne, może w każdej chwili powiedzieć o sobie z otuchą i dumą: *myślę—więc jestem.*

Czy mówi to o sobie społeczeństwo nasze i czy powiedzieć może? Gdybyśmy za ostateczny wyraz powszechnego przekonania uznali to, co najkrzykliwiej się odzywało, musielibyśmy na pierwszą połowę tego pytania odrzec przecząco. Zwykle, przesuwając punkt kartezyuszowskiej opory w inne sfery dowodów, twierdziliśmy lub twierdzimy: byłem, więc jestem; modlę się, więc jestem; Bóg mnie wybrał, więc jestem. Wnioski to albo wątpliwe, albo błędne. Przeszłość świadczy tylko za sobą, nie za teraźniejszością. To, że byłem, nie przekonywa, że jestem. Powtóre pewna forma wyznania nie stwierdza również bytu społeczeństwa. Żadna bowiem religia nie ogarnia wszystkich jego członków, nie stanowi wyłącznej jego własności a jako czynnik podlegający słabemu rozwojowi, nie posuwa cywilizacyi, nadewszystko zaś nie jest prawem narodu do samoistnego życia. Możnaby bez dłuższego zastanowienia pominąć urojony przez marzycieli nasz przywilej do łaski boskiej, gdyby wiara w niego nie zasłaniała nam prawdy, i nie wiodła do złudzeń i nadmiernej pychy. Oślepieni blaskiem mniemanego posłannictwa, nie widzieliśmy rzeczywistości; zapatrzeni w niebo, straciliśmy z oczu ziemię. „I kiedy inne narody—powiada otrzeźwiający nas z tych złudzeń Kalinka—w cierpkiej prawdzie na każdą niemoc szukające lekarstwa, nie obawiały się uchodzić za lichsze i słabsze niż nimi były w istocie, my jedni tylko „wspinając się na paluszkach wzdętej pychy", własną, od nikogo nieprzyznaną pojąc się chwałą, głosiliśmy siebie narodem wybranym, a każde, choćby najlżejsze napomnienie strasznem odrzucaliśmy słowem: brzydki ptak, co własne gniazdo kala! Jakby prawda kalać mogła, jakby upojenie było siłą, jakby sąd surowy o sobie nie przynosił zaszczytu i jakby nie ten dopiero w oczach drugich się poniżał, co sobie przyznawał cnoty, których nie posiadał!"

A przeczytajmy słowa, obcą kreślone ręką! Znany historyk Wuttke, usprawie-

---

Z KRONIKI MŁODOŚCI.

I

NA POGRZEBIE.

— Tu panie chojary były w tym lesie, —prawił dalej Marcinek—Ale naprzód ął pan, teraz zydy z Kałusyna tną ną, az jęcy.

Nagle bryczka pochyliła się nad rowem, aj uchwyciliśmy się przeciwnego jej boku, konie stanęły, Marcinek umilkł, zeoczył w kałużę i po chwili szepnął utnie:

— Oś pękła.

A niebo, jak gdyby rozczulone naszym sem, tak rzewnemi zapłakało łzami, że aż nie parsknęły a my wtuliliśmy uszy podniesione kołnierze paltotów. Tylko arcinek, nieczuły na spływające mu po sie krople deszczu, badał spokojnie złamą oś i liczył w duszy złotówki, które nową będą musieli zapłacić... „poćciwi nowie."

— Ha, „nieszczęście jest wielkością człoeka na ziemi"—mówi poeta, rzekłem esoło do mojego towarzysza, który już ządł ... w tej wrześniowej kąpieli; najmniej taką sposobność odznaczenia się. Osi nie naprawimy, bez niej nie dojedziemy, a wieś blisko; niech więc Marcinek zostanie przy bryce, my zaś dopełnijmy miary naszych wyższych przeznaczeń i powędrujemy pieszo.

Bez długiego namysłu plusnęliśmy w błoto, które nam aż pod oczy bryznęło, i wybierając co najtwardsze miejsca, podążyliśmy ku wiosce, leżącej tuż za lasem, podczas gdy nasz woźnica stanął stoicko pod przydrożną sosną. Humor studencki zdolny nawet niebo wypogodzić. To też spojrzawszy na nas brnących wesoło po błocie i zmokniętych, rozjaśniło się nieco i zaczęło mżyć delikatnie.

— Brr! potoniemy jak wojsko faraonowe w tem morzu—zawołał wreszcie mój kolega—i nie dostaniemy się do wsi.

— Odwagi Józiu—odrzekłem rozśmieszony—przodkowie nasi nie takie morza przepływali.

— Na koniach!

— Masz słuszność, szkoda, żeśmy nie odprzęgli naszych rumaków i nie puścili się na nich. Ale mniejsza... jesteśmy już prawie u celu.

— Czy ty myślisz—rzekł Józef—że nam bryczkę zaraz naprawią i zdążymy na szóstą do stacyi? Już po czwartej, a chłop zanim coś poradzi, na podrapanie się w głowę potrzebuje z pół godziny.

— To zanocujemy.

— ...—zawołał mój towarzysz, spojrzawszy na mnie zdziwiony.

— Opatrz swoją braciszku i powiedz mi, co w tem byłoby tak strasznego? Jeżeli dziś nie przyjedziemy do Warszawy a jutro opuścimy cztery godziny mądrości, wydrukowanej w podręcznikach przed trzydziestu laty...

— Alež nocować w dziurawej stodole lub zatęchłej chałupie razem z prosiętami!

— Sprobujemy tych wygód spania przez sześć godzin, których tylu ludzi kosztuje przez całe życie.

— Lubię demokracyę — mruknął Józef—o ile ją mój nos znosi.

— I jabym ją nosem oceniał, gdybym miał ogon, którym mógłbym na arystokratyczną woń pokręcić.

Przygryzek był ostry, rozgrzeszała go jednak dawna nasza przyjaźń. Mimo to kolega mój, wykołysany w dostatku pieszczoch losu, szedł chmurny i rozdrażniony myślą noclegu w nędznej wioszczynie, którą obecny właściciel, gdyby mu subhastacya nie była przeszkodziła, miał przechrzcić na *Sans souci*, a którą jego dziad przezwał po prostu Przytykiem. Do mizernego dworku, na któr go starym i prostym zrębie powyskakiwały jakieś nowe, cudaczne wieżyczki, prowadziła kiedyś gęsta, a dziś poszczerbiona aleja, załamująca się i przedłużająca gościńcem, przy którym stanęły

dliwiając panowanie niemców nad polakami, pisze. „Liczyć głowy, każdą za jedność, żadną wyżej, i wyrokować na podstawie summy, znaczy ludzi uważać za zwierzęta. Zwierzętami oni wszakże nie są. Miarę stanowią siły duchowe, które tworzą takie różnice, że ludzi można tylko ważyć. Gdzie oświata i praca, gdzie rozum i potęga—tam prawo do panowania.“ Podobnie brzmi inny wyrok—Brüggena: „Polacy odłączywszy się od narodów wyższej cywilizacyi, stracili swoje śród nich stanowisko, i dla tego pretensye ich pozostaną dopóty nieusprawiedliwione, dopóki ten cywilizacyjny stosunek istnieć będzie.“ Sądy podobne bywają często zniewagą lub jedwabistym kokonem politycznych robaków; potrącają one przecież o tę strunę, która w cywilizacyjnym koncercie brzmi najsilniej a z której niedawno Mommsen wydobył tę groźną nutę konieczności: „historycznie i praktycznie ma słuszność tylko żyjący.“ Jakikolwiek proces wytoczymy, zawsze musimy stanąć ze swemi prawami przed trybunałem cywilizacyi. I dla tego—o ile nam wolno wyrażać osobiste przekonanie—gdyby jakaś wszechmocna istota dała nam do wyboru: 500,000 żołnierzy, czy tyleż znakomitych ludzi, wybralibyśmy ostatnich. Nie w zewnętrznych bowiem dekoracyach, nie w znikomych środkach potęgi, ale w tem wszystkiem, co ogólnie nazywamy *myślą* narodu, spoczywają prawa jego bytu. Myśl ta, mimo trudnych warunków, mimo duszących ją robót klerykalizmu, pracuje, żyje i objawia się u nas w najrozmaitszych postaciach. Kraszewski powiedział w jednem z dzieł swoich, że „jesteśmy trupem, któremu w trumnie paznokcie i włosy rosną“. Bynajmniej; jesteśmy ciałem żywem, któremu nietylko rosną włosy i paznokcie, ale także rozwija się mózg, nerwy i wszystkie organa. To też społeczeństwo nasze, nie szukając innych niepewnych dowodów swego bytu i patrząc na ten swój rozwój może powiedzieć: *myślę—więc jestem.*

ZMARNOWANE STRZAŁY.

I znowu pojawiły się w prasie naszej niemal jednobrzmiące protesty przeciwko kilku dziennikom rosyjskim znanego cechu, protesty tak uroczyste, że aż wydrukowane niezwykłej miary czcionkami. Po przeczytaniu ich, mimowoli zadajemy sobie pytanie: do kogo one przemawiają? Do władz, trzymających losy nasze w swoim ręku? Do potężnych nieprzyjaciół, których każdy pocisk zrywa jeden dach nad naszemi głowami? Nie, do... *Moskowskich Wiedomosti*, *Petersb. Wiedomosti* i *Now. Wremieni*. Tylko? Tak, na ten raz—tylko. Jeśli tak, to skorzystajmy z dyspensy na tę rozprawę i pomówmy o jej przedmiocie szczerze.

Dwudziestoletni nasz stosunek do prasy rosyjskiej, który ją tylko w pewnych sprawach przy głosie utrzymywał, otoczył w naszych oczach najkrzykliwszych i najryzykowniejszych jej rzeczników pewną grozą, podniósł ich znaczenie do wysokości regulatorów życia państwowego. Milcząc tak długo z pochyloną głową, nie umiemy, podniosłszy ją, zmierzyć dokładnie postaci tych, którzy by nas jeszcze niżej przygiąć chcieli. Gdybyśmy dawniej mogli byli, jak prasa petersburska, spojrzeć prosto i cisnąć wzgardę w oczy oszczercom, widzielibyśmy dziś w nich to, co ona widzi: rosyjskich Cassagnaców, mącących wodę polityczną dla złowienia w niej ryb sobie, ludzi płytkich a zajadłych, obracających przy ogniu społecznych rozterek własne pieczenie, sztucznie roznamiętnionych derwiszów, wstrząsających ciemne tłumy pianą ust swoich, przedewszystkiem zaś dobrowolnych denuncyantów, przebranych za zbawicieli ojczyzny. Tymczasem my uważaliśmy ich i uważamy za złych półbogów, za prywatnych ministrów, których każdy artykulina staje się okólnikiem urzędowym, każde słowo hasłem nowego zwrotu państwowego. Zapomnieliśmy i dotąd nie zdajemy sobie jeszcze sprawy, że owi wrodzy nam redaktorowie pism są tylko redaktorami pism, przemysłowcami, którzy stawiają młyny na wartkich prądach politycznego skandalu a rozprzedają swą brudną mąkę ciemnym „miaśnikom“ i węszącym świeży łup szczedrynowskim „taszkientcom“. Ztąd nasze złudzenie, ztąd kilkakrotne uroczyste protesty, z których adresanci może w kułaki się śmieją. Bo, i jakaż wywiązuje się walka? Pan Katkow, któremu już pogasły wszystkie rozdmuchiwane przezeń ogniska wojny, który po oddaniu Dulcigna już przestał wybierać się do Konstantynopola a ruchów irlandzkich z niebezpieczeństwem Rosyi jeszcze nie związał, siedząc w swym gabinecie i gryząc pióro, duma nad brakiem sposobności do efektownego alarmu, do zagęgania na Kapitolu. Na około cisza, z nad Wisły nie dochodzi najlżejszy szmer—Brennusa z nikąd nie widać, więc gęsi milczeć muszą. Ale p. Katkow ma konika, na którym zawsze po szpaltach *Moskiews. Wiedomosti* pohasać może, ma *polskij wopros*. Dosiada go więc i dalej! Za nim pośpiesza na ten spacer p. Suworin i inni przyjaciele, którzy wiodą między sobą taką może tajemną rozmowę: „Tę naszą *progułkę* zgromi 100 polskich pism, słyszycie sto! Co za reklama przed nowym rokiem. W Ameryce gazety wyszywają swoje anonse na plecach drabom, którzy lecą przez ulice i krzyczą, a tłum biegnie za nimi i czyta. *Polskij wopros* lepsza sztuka.“ I co my na to? My... ogłaszamy zbiorowe, uroczyste, jednobrzmiące protesty. Czy warto tak się zbroić? Czy słowa ich są błyskawicami, po których spadają na nas druzgocące pioruny nowych rozporządzeń? Bynajmniej. Słyszymy tyl-

---

kolwiek przeczuwałem, że dziedzic *Sans-souçi* nie ma w swem gospodarstwie ani jednej całej osi i ani jednej gościnnej kołdry, dla rozczarowania wszakże mojego arystokratycznego kolegi, spytałem przechodzącego parobka:

— Pan w domu?

— Ale, gdzieby! odrzekł, ruszywszy ramionami, jak gdybym go zagadnął, czy wiatr, który mu wczoraj czapkę zrzucił, wieje jeszcze na polu.

— Wyjechał?

— Jeździ—pono teraz ogląda gdzieś bażianty.

— Macie bażantarnię?

— Bogać tam!

— A bryczkę?

— Juści była, ale jak raz zawadził, tak posła!!

— Przenocować we dworze nie można?

— Pokojów jest dosyć, ale zeby tak posłania, nie widziołem. Siedzi tam juz dwa dni Aron i ceka na pana, to musi sobie łokieć pod łeb podłozyć i tak się przespać.

Dobrze mu—pomyślałem — bo to on pewnie, zahipotekowawszy swoją należność na Przytyku, nie chciał pozwolić, ażeby tę wioskę przezwano *Sans souçi*.

Doszliśmy do pierwszej chałupy.

— Czy tu myślisz dostać bryczki?—zapytał ironicznie Józef.

— Zajdźmy—jakiś płacz słychać.

— Pewnie pijany Maciej wrócił z jarmarku i częstuje dzieci kułakami.

Wązkie opłotki chrustowe łączyły z gościńcem zapadniętą i nadwyrężoną chatę, do której przytulił się mały, kałużą otoczony chlewek. Z pod zniszczonej słomianej strzechy wyglądało małe okienko, jak ślepe oko żebraka z pod skołtunionych włosów. Ściekające z dachu krople deszczu spadały jak łzy nędzy, błagającej o litość. Na progu siedziało troje obdartych i zabrudzonych dzieci, które szlochały lub krzyczały przeraźliwie. Najstarsza dziewczynka lat siedmiu okryła się przynajmniej zszarzaną chustką, młodsza zarzuciła na głowę fartuch, ale dwuletni z siną twarzą chłopczyna miał na sobie tylko koszulę, przez której długi rozpór na piersiach ukazywała się pręga latem spalonego na słońcu, a teraz zmoczonego na deszczu ciała.

— Co to wam? spytałem łagodnie.

Przestały płakać, ale nic nie odrzekły. Józef został na dworze, ja zaś przestąpiłem próg i o mało nie runąłem w zapadłej sieni, w której czuć było wyziewy obory. Na lewo znajdowały się drzwi do izby, uchyliłem je lekko. Cisza.

— Gospodarz w domu?

Nikt się nie odezwał. Wszedłem. Niewielką izbę zalegał mrok, słabo rozjaśniony światłem drobnego i do połowy zaklejonego okienka. Przyjrzawszy się jednak uważniej, spostrzegłem kilka zwykłych sprzętów, kilka zczerniałych obrazów, za któremi tkwiły pęki ziół i świeca woskowa, wreszcie łóżko, a na niem wychudłą, starym kożuchem okrytą kobietę. Gdym się wpatrywał w jej trupią twarz, nagle coś poderwało się pod mojemi nogami. Odskoczyłem strwożony — było to leżące i do łóżka przywiązane cielę. Kobieta ani drgnęła; domyśliłem się więc odrazu, że musiała to być zmarła matka płaczących dzieci. Uczułem nieprzyjemny dreszcz; cofnąłem się więc ku drzwiom, gdy w tem znowu rozległ się płacz przed domem. Wybiegłem. Przy płocie, przytykającym do chlewka, stały dzieci zalane łzami. Najstarsza dziewczynka, wspięta na palcach, spoglądała za płot co chwila. Zbliżyłem się i ku wielkiemu zdumieniu ujrzałem tuż za nim świeży dół, z którego dna podstarzały już wieśniak wyrzucał na wierzch ziemię. Miałżeby to być grób dla umarłej kobiety?

— Co wy robicie? zawołałem.

Wieśniak wyprostował się, popatrzał na mnie surowo i odrzekł.

— Rozgrzewam się.

— Tu myślicie żonę pochować?

— E, co tam panu do tego—mruknął nie podniósłszy nawet oczu; zatknął rydel, wyskoczył z dołu, wysunął żerdzie z jednej części płotu, zdjął z kołka postronki i wszedł do domu.

— Oszalał! szepnąłem do Józefa, który zdala był niemym świadkiem tej sceny. Poszedł po żonę, trup leży w izbie.

— Zwierzę—rzekł mój kolega wzgardliwie.

krzyki dziennikarskich bałagułów, har- jących na *polskom woprosie* po zabłoconej wie *Moskiewskich* lub *Petersburskich Wie- mosti.*

Szanujmy siebie i szanujmy sprawę, któ- nam jest drogą. Artykuły p. Katkowa p. mogą nam — mówiąc językiem Pla- a — połechtać śledzionę, mogą nam dać teryał do serdecznego śmiechu w fejle- ach i pismach humorystycznych, ale nie uroczystych protestów. Pamiętajmy, ci panowie nietylko za naszemi kołami gną, że denuncyowanie jest ich rzemio- m. W czasie nihilistycznych spisków samo chwytali za pięty swych ziom- w, jak dziś chwytają nas. Albož nie ierdzili głośno, że liberalna prassa ro- ska jest rodzoną siostrą „podpolnoj?" boż *Gołos* nie był w ich oczach poprawnem daniem *Ziemli i Woli*? Gdyby hr. Lo- Melikow nie był swą rozumną energią nknął ust temu szpiegowstwu, pragną- nu całe państwo wpakować do więzienia a „oczyszczonym" gruncie rozgospodaro- ć się swobodnie, może dziś jeszcze za- walniałoby ono się strawą u siebie i nie gało do nas. Ci panowie denuncyanci są tak szkodliwi, jak nam się zdaje. nie potrzebujemy ich własną krzywdą tnować, ostęplowała ich już dostatecznie ciwsza prassa rosyjska, która *kennt ihre ppenheimer*. Zresztą, jak wyglądają w na- ch dziennikach długie protesty wobec własnych słów: „odpierać nikczemne lejrzenia *nie jest naszym zamiarem.*" kto—więc nie jest naszym zamiarem to, spełniamy na kilku szpaltach? Bądźmy obą w zgodzie. Jeśli chcemy polemizo- ć z prassą rosyjską, wyzywajmy do roz- wy: *Gołos*, *Mołwę*, *Nowosti*, *Stranę*, *estnik Jewropy*, *Otieczestwiennyja Za- ki* — wszystkie wreszcie pisma, których zuty nie są garściami błota, które uży- ją godziwej broni i z któremi łączy nas ynajmniej wspólny pomost uczciwości. nie kułakujmy się z bokserami.

Nie pierwszy to raz, podzielając pobudki naszych towarzyszów dziennikarskich, nie podzielamy ich taktyki. O zbyt wielkie chodzi cele, ażeby można było potykać się z małymi procarzami. Tak się nie użytkuje z praw publicznego słowa wtedy, gdy o nie tyle poważnych interesów się dopomina. Nie starajmy się przekrzyczeć żab w błocie, ale mówmy o naszych potrzebach, życzeniach, dolegliwościach, o naszym narodzie, a mówmy do władz, do żywiołów rozumnych i uczciwych, nie do oszczerców. To są *zmarnowane strzały*.

Gospodarstwo Społeczne.

ROZSZCZEPIANIE PRACY.

I.

Ze wszystkich stron życia społecznego ekonomiczna posiada niezaprzeczenie najwięcej żywotności i siły. Podczas gdy poglądy i teorye polityczne, religijne, moralne i inne, raz zdobywszy sobie uznanie, przez wieki całe utrzymują swą powagę i otaczane bywają aureolą w oczach ogółu wtedy nawet, kiedy już poważny sąd naukowy stanowczo im prawa bytu odmówił, pojęcia ekonomiczne, nawet wśród najbardziej zachowawczych warstw społecznych, szybkim nieraz i głębokim ulegają przewrotom. Podczas gdy pierwsze drogą tradycyi przechodzą z pokolenia na pokolenie a wszczepione od lat najmłodszych w każdą jednostkę, stanowią do pewnego stopnia niezbędną cząstkę jej duchowego istnienia, drugie zmieniają się niejednokrotnie w jednem i tem samem pokoleniu a ojcowie chętnie nieraz przejmują je od synów. Przyczyna tej różnicy tkwi niezaprzeczenie w samej naturze zjawisk. Stosunki ekonomiczne dotykają najrealniejszej, najściślej z rzeczywistością złączonej strony naszego istnienia. Głód i chłód—to dwaj dzielni nasi mistrze w nauce gospodarstwa; ich nie zaspakajają teorye i abstrakcyjne systematy; im żadne, najwyżej cenione powagi nie są w stanie nakazać milczenia. Pod ich naciskiem człowiek bezwiednie chwyta się wszystkiego, co mu pomódz może; nie ma dawnej strawy, przyzwyczaja się do nowej i przyucza się w niej smakować. Inne zasady i przekonania społeczne, choć również są wytworem życia, nie zdradzają tak łatwo swego ziemskiego pochodzenia. Jako skutki bardziej skomplikowanych warunków bytu, zrozumiałe dla drobnej jedynie cząstki dojrzalszych umysłów, przechodzą w pojęcia mas z góry, otoczone pewnego rodzaju tajemniczością i powagą. Z drugiej strony, jako bardziej oderwane i do ujęcia oraz ścisłego określenia trudniejsze, łatwiej naginają się do potrzeb chwili, nie tracąc pozornie swego pierwotnego charakteru a przedewszystkim zewnętrznej formy.

Zawsze też i wszędzie postęp ekonomiczny torował drogę każdemu innemu. Konieczność łatwiejszego zaspokojenia materyalnych potrzeb pierwsza zrobiła wyłom w ściśle zamkniętem kole pierwotnych, patryarchalnych rodów, a stosunki z wymiany bogactw wynikające, były początkiem wytworzenia się z nich obszerniejszych kół społecznych, narodów i państw. Też same przyczyny naprzód rozbiły chińskie mury, któremi odgradzała się starożytność i zmusiły ją do porzucenia narodowej dumy i pogardy dla każdego cudzoziemca. One następnie złagodziły obyczaje, ukróciły zapał wojenny, żądzę podbojów i dążą do złączenia ludów w powszechnych „świątyniach pokoju." Wielkie ideje braterstwa i równości, zanim przeszły do teoryi, ujawniły się faktycznie na niwie ekonomicznych stosunków. Przyciskani potrzebą, dumni swem pochodzeniem patrycyusze zawsze i wszędzie wcześniej uczyli się z musu dłoń podawać boga-

---

Serce mi bić zaczęło, przyśpieszonem tę- m. Utkwiliśmy obaj oczy we drzwiach ty, oczekując niespokojnie jakiegoś stra- ego widoku. Wieśniak długo nie wy- dził. Od czasu do czasu tylko słychać o głuche stukania, jak gdyby cóś prze- acał. Nareszcie ukazał się w cieniu sie- okręcony postronkami, na których cią- ł z wysiłkiem po za sobą jakąś białą ssę. Dźwignąwszy ją na progu, szarpnął ałtownie i wywlókł na podwórze białą żywą... krowę.

Osłupiałem. Co to znaczyć miało?

Dzieci wybuchnęły gwałtownym pła- m.

— Papierucha! papierucha! wołało dwo- starszych rozpaczliwie.

Wieśniak, nie zatrzymując się, przecią- ł krowę za płot, odwiązał postronki, chnął ją do dołu śród krzyków dzieci opatrzywszy smutnie, usiadł zmęczony stercie piasku.

— To nie moja zona,—ale ich matka— kł do nas wskazując na dzieci. Wszyst- wykarmiła, płaccie, płaccie, bo ona m juz mleka nie da.

Dzieci odpowiedziały tak serdecznem niem, że i ja poczułem łzy w oczach.

— Bieda, co — mówił dalej — chłopska la. Zona rok już umiera i dzwignąć się moze, štery morgi piasku dosyć chle- nie urodzą, ot ta poćciwina nam poma- a. Jakem drugiej dopozycył, to i ziar- zwiozła i pole zorała i jesce dzieciom mleka dała. Ha, wola boza. Zdechniemy i my, jak ona zdechła.

— Cóż jest waszej żonie? spytałem.

— Chłop nie pan, zeby wiedzioł, na co umiera. A bom ja doktor? Choruje i choruje. Lekarka z Podborza mówi, ze to kołtun, a u nas jest baba, co gada, ze to wole. Słabowała tu kobieta, zwieźli felcera, dał lekarstwo, udzielili kapkę, napiła się, ale gdzie tam? Pokrzywiło i trzyma a umrzeć nie daje. Jakby raz skończyła, toby skończyła, a tak... Boze bądź miłościw. O, moja biedna papierucha—zawołał głęboko wzruszony, patrząc w dół—gdybyś ty... Ha!

Porwał się, chwycił rydel i począł dół zasypywać. Każda garść ziemi spadała z wzrastającym płaczem dzieci.

— Papierucha! papierucha! wołały one ustawicznie.

Skończył się wreszcie ten dziwny pogrzeb.

— Nie płacta małe — krzyknął ojciec — mamy od niej jałoskę.

Dziwnie mi się zrobiło w tej chwili. Doznałem nieopisanego pragnienia pomódz biedakowi, ale chuda sakiewka studencka nie pozwalała na sowite wsparcie. Trudno, co można.

— Przyjmijcie ode mnie gospodarzu 10 rubli — rzekłem zakłopotany — tyle tylko wam dać mogę.

Poczciwy Józio nie pozostał obojętnym i on dołożył tyleż do mojej ofiary.

Wieśniak wziął pieniądze, popatrzał na naszdziwiony, zdjął czapkę, chciał cóś przemówić, ale tylko usta mu zadrgały a z oczu polały się strumienie łez.

Odwróciłem się od tego przykrego widoku. Za nami stał Marcinek.

— Jest oś—rzekł tryumfująco.

Zanim wieśniak, trzymający w ręce nasze ruble, zdołał przemówić, myśmy już siedzieli na bryczce i ruszyli do stacyi.

— Tak, nieszczęście jest wielkością człowieka na ziemi—rzekł Józef w zamyśleniu.

Obejrzałem się.

Wieśniak stał ciągle z odkrytą głową, wreszcie podniósł czapkę i coś zawołał.

Turkot bryczki jednak nie pozwolił nam jego głosu dosłyszeć.

Nazajutrz poszedłem do uniwersytetu. Pierwsza prelekcya już się rozpoczęła. Gdym wchodził do auditorium, usłyszałem, jak profesor ekonomii politycznej wymawiał zdanie:

— „Prosty wieśniak jest dla tego od nas szczęśliwszy, że mając mniejsze potrzeby, doznaje mniejszych cierpień..."

W tej chwili Józio spojrzał na mnie i uśmiechnął się smutnie.

W. Okoński.

tym plebejuszom, zanim w teoryi do braterstwa z nimi się przyznali.

Ruchliwy ten i postępowy charakter pojęć ekonomicznych, nie zawsze naturalnie w jednakowej występował mierze. I one, choć w mniejszym stopniu od innych sfer życia społecznego, przechowywały i przechowują się dłużej, niż potrzeby i warunki, które je kiedyś do życia powołały; i w ich dziedzinie niejednokrotnie spotkać się można z przesądami. Zależy to przedewszystkiem od rozwoju życia ekonomicznego w danem społeczeństwie, od stosunku jego do innych czynników społecznego bytu. Tam, gdzie cały ustrój socyalny opiera się na przywileju i monopolu, gdzie polityczne różnice stanowią nieprzeparte dla jednostek zawady, działalność gospodarcza zbyt szczupły ma zakres. Ideje i pojęcia ekonomiczne w zależności pozostawać muszą od innych, a ztąd i oddziaływanie ich na nie odbywa się powoli tylko i z trudnością.

Wielkie wypadki końca zeszłego stulecia stanowią erę w dziejach ekonomicznego rozwoju narodów. Zwaliły one podstawy średniowiecznego ustroju, którego cechą była, między innemi, przewaga idej polityczno-religijnych nad ekonomicznemi. Zniesienie monopolu, jako zasady społeczno-gospodarczego bytu, i pozostawienie swobodnemu współzawodnictwu szerokiego pola zapewniło stanowczy tryumf idejom ekonomicznym i zniosło sztuczne tamy rozwojowi ich stawiane. Dla tego, gdybyśmy potrzebowali charakteryzować tło różnych epok historycznych, nazwalibyśmy naszą okresem idej ekonomicznych, tak jak stulecia XVII i XVIII—epoką idej politycznych, a wieki średnie—religijnych. Rozumie się, że uważając wypadki końca zeszłego wieku za początek nowej ekonomicznej doby życia ludzkości, mamy na myśli rozwój jej ogólny. W pojedyńczych społeczeństwach zjawisko to występuje wcześniej lub później, a nasze w tym względzie zajmuje jedno z miejsc ostatnich.

Wyzwolenie idej ekonomicznych z pod nacisku innych pozwoliło im wykazać w całej pełni przyrodzony, ruchliwy charakter, oraz wywrzeć jawny wpływ na wszystkie inne strony społecznego bytu. To też każdego zadziwić musi niezwykła, niemal gorączkowa szybkość rozwoju w naszem stuleciu, nieustający szereg przewrotów w sposobie życia, kierunkach pracy, potrzebach i formach ich zaspokojenia. Obok tego, śledząc bieg różnych idej i pojęć, zwłaszcza zaś tych, które wiek obecny od minionych przejął w spuściźnie, niepodobna zaprzeczyć, że stopniowe ich przemiany odbywają się głównie pod wpływem przyczyn ekonomicznych. One stanowią jak gdyby pomost, rzucony nad przepaścią, rozdzielającą ludzi odmiennych przekonań i rożnego stanowiska; one równają w prawach i obowiązkach osobistości, różniące się znaczeniem, potęgą i położeniem towarzyskiem.

U nas, jak już wspomniałem, warunki, sprzyjające rozwojowi ekonomicznemu, pojawiły się znacznie później, niż w krajach, przodujących cywilizacyjnemu pochodowi ludzkości. Ztąd też i wyzwolenie się odpowiednie pojęć z pod wpływu ubocznego nastąpiło niedawno i wiele jeszcze w gospodarstwach naszych pozostawiło cech epoki dawniejszej, które gdzieindziej już zatarte zostały. Wprawdzie my także podążamy i to coraz śmielej w tym samym kierunku, a w wielu razach chętnie szukamy wzorów u obcych; niedokładnie jednak zrozumieliśmy ducha ekonomicznego postępu i często niepowodzenie skłonni raczej jesteśmy przypisać błędności zasady, niż wadom jej wykonania.

Jedną z charakterystycznych właściwości dawnej, średniowiecznej ekonomiki, właściwości, która u nas znacznie dłużej niż na zachodzie Europy się przechowała i do dziś dnia jeszcze ślady swe zostawiła, było przekonanie, że ideałem gospodarstwa każdej jednostki powinno być wytwarzanie dla siebie najróżnorodniejszych przedmiotów, a obywanie się, o ile można, bez wszystkiego, co trzeba było *nabyć* z zewnątrz, za gotówkę. Przekonanie to, które i obecnie niemało liczy wyznawców, było niedawno jeszcze powszechne. Głoszono je prywatnie i publicznie, w formie beletrystycznej i naukowej, w tendencyjnych obrazkach z przeszłości, a nawet w poezyi. Boć jego to rzecznikiem był poeta, gdy pisał:

Szczęśliwy, kto na małym udziale przebywa,
Spokojny siadł do stołu wiejskiego warzywa,
Z swej obory ma mięso, z ogrodu jarzynę
W domu napój i wierną przy boku drużynę.

Dość jest przeczytać który z licznych opisów dawnego, zamożnego gospodarstwa szlacheckiego, żeby spostrzedz, do jakiego stopnia usiłowano regułę tę urzeczywistnić. Chlubą gospodyni było pochwalić się największą różnorodnością zapasów własnego wyrobu. Pieczywo wszelkiego rodzaju, od razowca do pierników, marynaty i wędliny, konfekty i różne gatunki wódek, a nawet popularniejsze rodzaje leków wychodziły z pod jej pracowitej ręki. Pod jej zaś okiem warzono piwo na domowy użytek, sycono miody, tuczono trzodę i drób, fabrykowano płótno a nawet i sukno. Gospodarz znów, pominąwszy starania o dobrze zaopatrzoną w węgrzyna piwnicę, wychowywał źrebaki do swej kolasy, a ciołki do pługa i starał się zgromadzić wśród swej czeladzi domorosłych rzemieślników wszelkiego narzędzia: kowala, stolarza, cieślę, kołodzieja, bednarza i innych. Własne swe wozy słał na kraj świata, a piesi i konni posłańcy pełnili obowiązki nadwornych poczt i telegrafów. Słowem każdy starał się stworzyć około siebie mały światek, w którymby królował, w którymby wszystko skinienia jego słuchało i fantazyom rozlicznym dogadzało. Mały ten światek był prawie nieodłączny od osoby swego władcy i ruszał się wraz z nim, gdy zaszła potrzeba podróży. Obok kolasek, wlokły się wozy z prowiantem dla państwa, sług i koni z zastawą stołową i kuchennym rynsztunkiem. Rzecz oczywista, że szybkość podróży przy tym systemacie nie mało pozostawiała do życzenia. Na popasach i noclegach rozkładano cały tabor, zastawiano stoły i podejmowano nawet spotkanego w podróży gościa. Zresztą, pominąwszy już znane dzisiejszemu pokolenia z opisów tylko fakty, w niedawnej jeszcze przeszłości, bo zaledwie kilkanaście lat temu, spotkać jeszcze można było na małą skalę ich odbicia. Wielu z nas, nawet młodszych, pamięta pewnie zjazdy na walne jarmarki, na które szlachcic zwoził ze sobą wiktuały i bigosy, drób' i kosze wina ze swej piwnicy, któremi raczył w najętem mieszkanku znajomych. *Karol Dunin.*

(Dalszy ciąg nastąpi).

Badania przyrodnicze.

O RUCHU ROŚLIN.

Charles Darwin, *The power of movement in plants*, London 1880.

Wejście do wielkiej świątyni naukowej we wsi Down, zasnuwają ciągle swą śliną krzyżaki, które łowiąc łatwowierne muchy w pajęczynę, tłómaczą im, że po za nią w ciemnej jaskini kryje się czyhający na nie potwór. Od czasu do czasu jednak przez tę pajęczynę przebłyskuje nagle światło, ze świątyni wychodzi sędziwy arcykapłan nauki i ogłasza uroczyście światu nowe jej tajemnice. Wspaniały widok trwa przez chwilę, wreszcie mistrz niknie i pająki zaczynają znowu prząść swoją siatkę.

Przed kilku właśnie tygodniami z pracowni Darwina uderzyła jasność; wielki badacz ukazał się i odsłonił nową tajemnicę natury—władzę ruchu u roślin.

Mniej posiadając uzdolnień do sądzenia pracy tego olbrzyma, niż liczni członkowie prawowiernego trybunału, którzy go skazali na osiedlenie w piekle, poważymy się tylko przedstawić czytelnikom główne zawarcie ostatniego dzieła Darwina.

Nie pierwszy on zaczął badać ruchy roślin; składa też cześć ze zwykłą mu skromnością zasługom swych poprzedników: Sachsa, Friesa, Wiesnera, Pfeffera, Vine'a, Hofmeistera, Franka, Richtera i Brückego. Wsparłszy się na fakcie, że części roślin pozostają w ciągłym ruchu, bada on przyczyny i cel tego zjawiska.

Przez cały szereg spostrzeżeń objaśnionych licznymi przykładami i rysunkami, dochodzi do wniosku, że ów ruch jest nieregularnie eliptyczny, prawie owalny, co widzimy np. u wszystkich pnących się roślin. Łodyga, zwrócona ku północy, kłoni się nieznacznie ku wschodowi, następnie na południe i zachód, i znowu wraca do północy. Gdyby to się odbywało regularnie, ruch jej zakreślałby koło, albo raczej—skutkiem wzrostu rośliny—linię spiralną. Czasem jednak wierzchołek robi zygzaki, trójkąty lub zwoje. Darwin nazywa ten ruch *circumnutation*, co w braku odpowiedniejszej nazwy, możnaby wyrazić przez zataczanie lub kołowanie. Krzywizny wzrostu organów wielokomórkowych objaśniano długo szybszym wzrostem komórek na zewnątrz wysuniętych; wynika to wszakże z ich poprzedniego nabrzmiewania, którego przyczyna nie jest dotychczas znaną. Wszystkie części rośliny, przyjmujące udział w jej wzroście, odbywają ten ruch obrotowy, zarówno nasienie przed wydobyciem się jeszcze na wierzch, jak zagłębiający się korzonek, jak wreszcie listki przybierające w nocy kierunek pionowy, aby ochronić swą powierzchnię od zmarznięcia. Zwrot roślin ku słońcu, dążenie łodygi w górę, a korzenia ku środkowi zie-

ą to tylko odmiany *circumnutacyi.*
ęnia od tego ruchu są następstwem
trznych lub wewnętrznych podraż-
-ciśnienia, wilgoci, światła i ciężko-
działających na niektóre części rośli-
odczas gdy inne opierają się lub nie
gają temu wpływowi.
okienka korzeni dążą na dół, porusza-
ę spiralnie. Przebijają one grunt, je-
st miękki lub kruchy, a *circumnu-*
ułatwia im posuwanie się. Włoski
a włókienek przyczepiają się silnie,
tylko mogą, nawet do gładkich ka-
i szkła, jak pouczają doświadczenia.
iem tego korzeń staje się silniejszym,
a wwiercają się dalej i wzmacniają
o stopnia, że korzenie bobu mogą
ęść wagę kilku kilogramów. Najchęt-
dnak wciskają się w szpary, szczeli-
wydrążenia porobione przez owady.
roślinki, wydobywające się na po-
chnię i mające stoczyć ciężką walkę
są nadzwyczajnie wrażliwe na dzia-
światła, wilgoci i ciśnienia. *Circum-*
ja pozwala im unikać tych wpływów
każe ulegać. Wzrost łodygi, liści,
zostaje w ciągłej od niej zależności.
może być zmienioym przez zewnętrz-
b wewnętrzne wpływy. Starzejące
cie, które w młodości miały kierunek
wy, pochylają się ku dołowi; szypułki
owe po okwitnięciu prostują się
padają i t. d. Sen czyli nocny ruch
zależy od zmiany światła i cienia.
gatunków posiada tę własność, że
ciągu dnia nie były dostatecznie
wione na działanie światła, nie do-
niejako zmęczenia i nie śpią w nocy.
iadczenia dowiodły, że np. akacye
a usypiać i budzić sztucznie. Darwin
utrzymać w stanie snu gatunek zwany
ra, nie polewając tej rośliny w ciągu
Jeżeli światło jest niedostateczne
nierównomierne, wywołuje ruchy nie-
e i eliptyczne; przy wzrastającem natę-
światła, ruch staje się zygzakowa-
a gdy ono pada tylko z jednej stro-
prostolinijnym.
maite części rośliny pobudzane by-
w bardzo niejednostajny sposób.
rzeniowych włóknach czułość skupia
ssaczkach. Życie rośliny objawia
am najsilniej, wpływ zewnętrznych
czności, przyjaznych lub nieprzyjaz-
przenika najbardziej i oddziaływa na
organizm: „Bez przesady wyrazić to
a w następujący sposób: wsysaczki
en korzeniowych, posiadające zdol-
kierowania ruchami innych części ro-
spełniają tę samą funkcyę, co mózg
ych zwierząt; mózg (rośliny) ma wła-
siedlisko w dolnej części organizmu,
muje wrażenia za pośrednictwem na-
ów zmysłowych i włada ich ruchem."
ki jest ostateczny wniosek Darwina.
e wypowiada on—jak rzekliśmy—
szego słowa w tym przedmiocie, ale
nialnie pogłębia. Nie kusząc się o sta-
ie trudnych zarzutów, pozostawiamy
ki badań wielkiego przyrodnika tym,
y się z nim zmierzyć mogą.

G. M.

Z GALICYI.

Kraków 15 grudnia.

Prawda w Krakowie. — „Koło literackie." — Walka o godności. — Popisy wydawnicze. — Pan Himmelblau jako krzewiciel katolicyzmu. — Dwutygodnik *Muzeum.*—Jego ciemny drogowskaz.—Ofiara nóg dla Mickiewicza.

Wezwany do pisania listów o życiu społecznem, literackiem i artystycznem Krakowa, czynię zadość żądaniu waszemu z ochotą, ale zarazem i z bojaźnią. Tytuł pisma waszego wyraźnie wskazuje cel jego i dążności, a co główna—wymaga od współpracowników najniebezpieczniejszej rzeczy: mówienia prawdy. Bagatela!

Jeżeli prawda znajduje jeszcze gdziekolwiek zwolenników, to w Krakowie skazaną została na wieczne wygnanie, a gdy uda się jej czasami wejść niespostrzeżenie przez miejskie rogatki, to obława na nią urządzona przestraszyć może najodważniejszego.

To też gdyby kiedykolwiek z mojej sprawozdawczej twarzy spaść miała maska, będę miał wrogów w c. k. starostwie, c. k. dyrekcyi policyi, w prezydencie miasta i radzie miejskiej, w wszechpotężnej redakcyi *Czasu*, w panu Koźmianie, Popielu, w ciele Akademii Umiejętności, w szanownych instytucyach bankowych, w sławetnych „łykach" miasta Krakowa, w towarzystwach ś-tej Salomei, ś-go Łukasza, śgo Wincentego à Paulo, ba! nawet *Djabeł* i p. Maryan Sokołowski, uczony członek Akademii, stronić odemnie będą jak od zapowietrzonego.

Po tym przedśpiewie do rzeczy. Długo oczekiwane, a jeszcze dłużej w żywocie ojców noszone, Koło artystyczno-literackie przyszło już na świat pod postacią zbierania wkładek od członków. Na nowy rok ujrzy się ono we własnej siedzibie obok pierwszorzędnej kawiarni. Jeżeli sądzić można z dotychczasowych wróżb, będzie to może jedyne, nie w zakrystyi wykołysane dziecię krakowskie, które się wychowa pomimo przeszkód, stawianych ze strony wszechwładnych opiekunów naszego publicznego życia. Nie myślcie jednak, aby zgoda panowała w gronie członków instytucyi i to właśnie bodaj czy nie jest najlepszym znakiem jej dobrej przyszłości. U nas przy ogólnej zgodzie trudno cokolwiek przyprowadzić do skutku, a tu pomimo swarów i kwasów rzecz stanęła. Dowodzi to potrzeby Towarzystwa i zrozumienia jej przez ogół. Spór o dostojeństwa komitetowe wywołał starcia. Dwie listy z sobą współzawodniczyły: jedna stańczykowska, druga mięszana. Stoczono tak zaciętą bitwę, że jak się ktoś dowcipnie wyraził, p. Juljusz Mien na 58 głosujących otrzymał głosów 60. Sympatyczny Juljusz Kossak nie miał przeciwnika na godność prezesa. Kandydatura na wice-prezesa p. Adama Asnyka zwyciężyła kandydaturę p. Sadowskiego, członka redakcyi *Czasu*. Najżarliwiej jednak bito się o sekretarstwo. Artyści, paru literatów i p. Bartoszewicz byli za p. Bartoszewiczem; stańczykowscy zaś dziennikarze, paru artystów i p. Ziemięcki za p. Ziemięckim. *Les deux font la paire*, chociaż z dwojga złego wybierając, wolelibyśmy pierwszego, który, lubo o nim w literaturze jakoś dotąd nie słychać, więcej jej oddał usług skrzętnem wydawnictwem dzieł ojca, niż p. Ziemięcki swemi archeologicznemi stękaniami. Ale pan Bartoszewicz jest nie synem, lecz co najwyżej pasierbem stańczyków; zwyciężył przeto p. Ziemięcki, czego jemu a nie Kołu winszujemy. Dalsze wybory na członków komitetu pogodziły oba stronnictwa: jedno z nich reprezentują pp. hr. Tarnowski, Szujski, ks. Polkowski; drugie pp. Bałucki, malarz Pruszkowski, niedoszły sekretarz Bartoszewicz i inni.

Może koło literackie wpłynie choć cokolwiek na krakowską literaturę. Pomimo Akademii Umiejętności, pomimo patentowanych uczonych i literatów, pomimo niezwykłej ich płodności, czego dowodem wywóz do Lwowa i Warszawy, sprawy piśmiennictwa mniej zajmują ogół mieszkańców, niż produkcye miss Wandy, pokazującej się na linie w teatrze. Niechęć do czytania, przymiot wspólny $^{9}/_{10}$ obywateli Krakowa, prowadzi za sobą zupełny zastój wydawniczy. Utwory pióra idą na targ warszawski, gdzie wszystkie zbyt znajdują, pomimo lichoty wyrobu. *Czasu* do wydawnictw literackich zaliczyć nie można, *Przegląd* drukuje w braku artykułów przerażająco nudne prace pana Tomkowicza, a jeżeli czasem zabłyśnie, to pożyczanym blaskiem z Poznania: kryjący się pod pseudonimem Seweryna Przerowa znany historyk wielkopolski ratuje *Przegląd* od moralnego upadku; materyalny bowiem obchodził już swoją 14 letnią rocznicę. Zresztą tak *Przegląd* jak i *Czas* są to wydawnictwa, czerpiące swą siłę w prywatnych funduszach: gdyby nawet nie miały jednego prenumeratora, wychodziłyby dla potrzeby partyi. Książkowa zaś literatura krakowska przedstawia się w opłakanym stanie. Nie możemy tutaj zaliczać dzieł Fredry, Bartoszewicza itd.—są to bowiem wydawnictwa przypadkowo w Krakowie prowadzone, niezwiązane z nim wspomnieniami autorów, ani funduszami. Wydawca Fredry p. Gebethner ma interes w popieraniu drukarni krakowskiej Anczyca, jest prawie zmuszony używać jej do swoich wydawnictw, które nic wspólnego z Krakowem nie mają. Historya Szujskiego wyszła w Warszawie, dzieła Siemieńskiego wydaje Unger, Bobrzyńskiego Gebethner!

Cóż więc, spytacie, rodzi się w Krakowie? Posłuchajcie: oto szereg wydawnictw czysto krakowskich z ostatnich 6-ściu, 7-miu miesięcy:

1. *O zakładach naukowych XX. Pijarów*, napisał X. Czemerski. Broszura ta wydaną została w celu przysporzenia k-dzu Słotwińskiemu uczniów do jego konwiktu.

2. *Iljada* Homera w tłómaczeniu Pawła Popiela jun. Nakład własny autora. Tłomaczenie ciężkie, lecz sumienne.

3. *O sejmie czteroletnim Kaliniki*—napisał p. Paweł Popiel odbitka z *Przeglądu*. Praca nie naukowa, ale zabawna.

4. *Pamiątka* pobytu w Galicyi Najjaśniejszego Cesarza Franciszka — Józefa, ułożył A. Nowolecki. Jest to wykaz wszystkich członków straży honorowych, wszystkich jednobrzmiących przemówień, opis daru wręczonego cesarzowi przez autora książki,—słowem bezużyteczna zbieranina rozmaitych gazeciarskich artykułów.

Uwiecznienie nazwisk wszystkich członków rad powiatowych, delegacyi itd. podwyższyło wartość dzieła dla przekazanych potomności galicyjskich mieszczan, żydów i obywateli.

5. *Wiersz jubileuszowy* pana Tomkowicza czy Tomkiewicza. Przyczynek do literatury księdza Baki.

6. *Wiara i miłość*, książka do nabożeństwa, ogłaszana plakatami, ułożona przez fabrykanta książek nabożnych i moralnych p. Morawskiego, niegdyś żuawa papieskiego.

7. *Listy pani Apatii do pani Postępowskiej*, serya druga, napisał X. Siemieński. Jestto odbitka z *Echa*, zawierająca poglądy autora na literaturę, sztukę, publiczne zabawy, filozofię — jednem słowem bigos z francuzką przyprawą. Na końcu trawestacya wiersza Adama: „do matki Polki.“ Świetny pomysł parodyi połączył się z mistrzowskiem wykonaniem. Oto próbka:

Wieszcz nam powiedział: młodość jest rzeźbiarką,
Przez matkę żywot kuje się cały (?!),
Choć młode lata płyną same szparko.
Przykład rodziców do grobu jest trwały.

Znajdujemy tam również: „o posłaniu bez pierza“ o uprawianiu ogródka, o sukmance i o ks. Dupanloup.

8. Rozmaitego gatunku *Kalendarze*. Dr. Władysław Miłkowski zniósł kalendarz katolicki z dodaniem opłatka w czerwonej bibułce.

Nadarmo męczę pamięć, aby wam wyliczyć choć jedno więcej wydawnictwo krakowskie. Ach! prawda! Pan Himmelblau, jedyny nasz wielki nakładca, wydał książkę do nabożeństwa dla uczącej się młodzieży. Firma wydawcy ręczy już sama o czystości uczuć katolickich rozlanych w tej książce.

Zawcześnie jednak byłoby rozpaczać nad literaturą krakowską. Świetną jej epokę zwiastuje dwutygodnik polski *Muzeum*, mający w d. 1-szym stycznia po raz pierwszy zejść na widnokręgu naszego grodu. Wydawcą jego jest dr. Tadeusz Rutowski, nieznany—podobno filozof i archeolog, inni twierdzą, że ekonomista. Dla nas nie ulega wątpliwości, że musi to być człowiek dobrych chęci. Dowodzi tego sam fakt zakładania czasopisma, co jak wiadomo w Krakowie jest dobrowolnem zrzeczeniem się części dochodów lub majątku. I to wszakże jest dla nas pewnem, że p. Rutowski bardzo zawodnie roi, jeśli sądzi, że pismo zczasem samo się utrzyma. Pretensyonalny przytem prospekt jego zapowiada tyle i tak ciemno, że aż w głowie zawrót sprawia.

„Tylko pismo z szeroko zakreślonym programem może połączyć rozstrzelone siły i stać się wiernem odźwierciedleniem wszystkiego, co się u nas myśli, czuje i przedsiębierze, kronikę współczesną wszelkich dorobków cywilizacyjnych, polskich i obcych zaznaczającą główne kierunki i prądy, wielkie zagadnienia społeczne, naukowe i literackie, oraz główne fakta—i w ten sposób ścieśnić węzły, łączące nas z życiem społeczeństw bliższych nam i dalszych, a mianowicie pragniemy wobec niedostatecznego zajęcia się objawami życia umysłowego narodów słowiańskich, baczniejszą na nie zwracać uwagę.“

Po tym i temu podobnych ustępach idzie jeszcze zapewnienie, że *Muzeum* służyć będzie *rzetelnemu* postępowi (znamy się na tych *rzetelnych* postępach), trzymając się tradycyi, ale nie tej, pod którą podszywa się rutyna i nieuctwo! Nakoniec redakcya wypowiada... „walkę frazesowi.“ Zaiste, będzie ona musiała stoczyć najprzód ciężką walkę... z sobą! Lista współpracowników nie wiele nas uczy, chociaż znajdują się między nimi nazwiska: prof. Bobrzyńskiego, Franciszka Czernego. O Szwarcenbergach, architektach i tłómaczach, rozsiadających się obficie na kurulnych krzesłach prospektu, nic nie wiemy.

Minąwszy teatr, w którym pewna miss i pewien Franz (łącznie z komedyą Bałuckiego, zapewnie dla okazania braterstwa sztuki) wzruszają nas na linach i trapezach; minąwszy Wystawę Sztuk Pięknych, która dopiero czeka na nowych gości, donoszę jeszcze pocieszającą wiadomość, że hr. Tarnowski urządza bal na dochód pomnikowego funduszu Mickiewicza. Nie zebraliśmy, ale na pewno wytańczymy pomnik dla naszego wieszcza. O ironio, ten, który oświecił nam głowy i rozgrzał serca, zawdzięczać będzie swą cześć w Krakowie naszym... nogom! *J. G.*

Z NIEMIEC.

Dopisek do średnich wieków.

Chrześcijańsko-żydowska walka.—Jej sprężyny, zasadność ekonomiczna i moralna. — Łączność izraelitów z żywiołami wolnomyślnymi.—Właściwa natura starcia według Richtera. — Przypomnienie rojeń De Candolle'a, okadzonych przez K. Vogta.—Głos Mommsena.—Formuła przyswajania się ludów.

Skoro chrześciańsko-żydowska walka już się skończyła a co najmniej przerwała, i tylko słychać jeszcze odgłosy drobnych bijatyk pięściowych, spójrzmy na dziwne jej pobojowisko, nad którem dotąd unosi się gęsty dym sejmowych, dziennikarskich i klubowych strzałów. O co szło i kto zwyciężył?

Są tacy, którzy pierwszą połowę tego pytania usiłują zbyć przypuszczeniem, że w wielkiej menażeryi pruskiej drapieżne junkierstwo, podrażnione w swych dzikich instynktach czczością obecnego życia politycznego, w którem hojny karmiciel oddawna już nie dostarcza mu żadnej posilnej strawy, rzuciło się na zamkniętych z niem żydów i poczęło ich zagryzać. „Coś trzeba zdobywać!“—woła ironicznie K. Vogt. Po wojnie francuzkiej—Watykan, ponim—socyalizm a teraz, gdy żadna nowa wojna się nie zbliża, a zwierzęcości w ciele powstrzymać nie można, dalej na żyda!“ Ta wszakże sprężyna, chociaż istotnie tkwi w pożądaniach teutońskich, nie zdołałaby sama wprawić w tak gwałtowny ruch tylu różnorodnych żywiołów; musiały więc łącznie z nią działać inne, może od niej potężniejsze.

Wielojęzyczny gwar drużyny dra Stöckera spłynął się w dwa główne oskarżenia: ekonomiczne i moralne. Żydzi—wołano—wyparli nas zewsząd, ogarnęli wszystkie pola gospodarstwa społecznego: przemysł, handel, giełdę—i uczynili nas swoimi włodarzami, którym niedługo miejsce wymówią. Mniejsza o ich zabory ekonomiczne—odparli drudzy—główna zdrożność w tem, że rozpanoszywszy się w naszym domu, zbezczeszczają nasze ołtarze. Ich dzienniki, składające przeważną część prassy niemieckiej, drwią ustawicznie z naszej religii, z duchowieństwa, ze wszystkich form cywilizacyi chrześciańskiej.

Oba te zarzuty, w oderwaniu słuszne, w związku z miejscowymi stosunkami nabierają odmiennego nieco znaczenia. Naprzód, kto są *my* a kto *oni*, kto niemcy a kto *żydzi* na gruncie niemieckim? Czy są to oświeceni chrześcijanie i ciemni azyaci z Nalewek lub Muranowa? Nie, ród galicyjskich, polskich lub rosyjskich izraelitów osobnego chowu w Niemczech zniknął, przetworzył się i rozpłynął w potężniejszym odeń żywiole germańskim, którego oświata go starła, strawiła i przyswoiła organizmowi narodu. Dziś ślady tego napływowego pierwiastku pozostały tylko pod rubryką wyznań w spisach ludności i— o ile krzyżowanie się ras nie zgładziło odrębności—w znamionach semickiego typu. „Co to znaczy—pyta bezstronny i poważny tej sprawy sędzia, T. Mommsen—gdy p. Treitschke żąda od naszych izraelskich współobywateli, ażeby się stali niemcami? Wszakże są niemcami, równie jak on i ja. Może on być od nich cnotliwszym, ale czy cnoty stanowią niemca?“

Otóż, czy przy takiem stopieniu się pierwiastków etnologicznych można mówić o jakimś ekonomicznym podboju i wydarciu? Zszedłszy ze stanowiska klerykalno-szlacheckiego, ze stanowiska Treitschkego lub Stöckera, nie dostrzeżemy wcale tej ostrej różnicy żywiołów i ich dążeń, jaka istnieje w innych krajach a zwłaszcza w Galicyi i Królestwie Polskiem. Czy na giełdzie berlińskiej panuje Bleichröder czy Windhorst, to jest zupełnie równoważnem dla każdego, kto ramionami swemi nie podpiera ani feudalnych zamków, ani izraelskich bóżnic, ani ultramontańskich stolic. Obaj są zarówno niemcami z tą tylko odmianą, że przodkowie jednego karmili się soczewicą w Judei, a drugiego żołędziami w teutoburskich lasach. Żadna więc chrześcijańsko-żydowska walka *ekonomiczna* w Niemczech podjąć się nie da bez sztandarów szlachecko-religijnych.

I na drugi punkt oskarżenia stosunki niemieckie dają pouczającą odpowiedź. Jak wszędzie, tak i tam oświeceni żydzi, nie mając własnej cywilizacyjnej podstawy, na której by się *zachowawczo* oprzeć mogli, a z drugiej strony odtrąceni przez żywioły konserwatywne, zamknięte w stałych granicach pochodzenia i wyznania, z konieczności i z interesu przylegają do pierwiastków wolnomyślnych, nieopasanych tym podwójnym ostrokołem, popierają ich dążenia i podzielają zasady. Nie zuchwalstwo więc pobudza ich w Niemczech do wystąpień przeciwko tak zwanym stronnictwom chrześcijańskim, ale łączność z obozem liberalnym. To też ze wszystkich rakiet w sejmie, mogących oświetlić pole i taktykę walki, najjaśniejsze niewątpliwie na nią światło padło ze słów posła E. Richtera, według którego nie chrześcijanie wypowiedzieli moralną wojnę żydom, ale wstecznicy postępowcom. Nic przeto dziwnego, że ci ostatni całą gromadą stanęli po stronie napadniętych. To wydarcie i ogłoszenie utajonego w stöckerowskich szeregach hasła najbardziej może zdecydowało los starcia i przyczyniło się do niepowodzenia całej krzyżowej wyprawy. Dziś żydzi obchodzą tryumf, bijąc w swych gazetach salwy z dział najgrubszego kalibru na cześć odniesionego zwycięstwa. Znany zapewnie jest czytelnikom *Prawdy* protest (przeciwko *Judenhetze*), podpisany przez kilkadziesiąt pierwszorzędnych powag niemieckich a zasługujący na to, ażeby go żydzi zamiast *mezyze* przybijali na odrzwiach swych domów. Oprócz tych kilkudziesięciu armat, wytoczonych dla pokonania nieprzyjaciela, przybywają im ciągle nowe, niemniejszej siły, których huk powtarza się tysiącznem echem w („żydowsko“) liberalnej prasie. Każdy niemal jej numer powiewa niby chorągiew, zapisana błogosławieństwami jakiegoś uczonego. Nie brak z tych błogosławieństw przechyłów ziemią dumy izraelskiej i zasług

Jeden z dzienników np. powtórzył słowa znakomitego botanika francuskiego Al. de Candolle'a [1]), który w swej: *Histoire des sciences et des savants depuis deux siècles* (Genewa 1873) wystawia takie świadectwo żydom, jakiego im podobno jeszcze nikt nie udzielił i — rozważnie sądząc— nie udzieli. Zamiast bowiem przerażać się ich wzrostem, przeciwnie, zachwyca się „obrazem Europy, zamieszkanej wyłącznie przez izraelitów.“ Bo i jakże by w przypuszczeniu obraz taki wyglądał? „Nie byłoby—powiada De Candolle—wcale wojen; moralnych zatem uczuć nie obrażanoby tak często, milionów ludzi nie odrywanoby od pożytecznych prac, brzemię podatków i długów państwowych stałoby się lżejsze... Uprawionoby bardzo szeroko nauki, literaturę, sztuki a zwłaszcza muzykę. Kwitnąłby handel i przemysł. Napady na osoby byłyby bardzo nieliczne, a gwałtowne występki przeciwko własności popełnianoby bardzo rzadko. Bogactwo, skutkiem oszczędności, połączonej z rozumną i systematyczną pracą, wzrastałoby niepomiernie. Bogactwo to wytwarzałoby wspaniałą dobroczynność. Duchowieństwo nie ścierałoby się z państwem wcale albo tylko w sprawach drobnych. Na nieszczęście urzędnicy ulegaliby nieraz przekupstwu i nie posiadali dostatecznej siły charakteru. Małżeństwa zawieranoby wcześnie i często, szanowano niemal powszechnie, a zatem złe, wynikające z nieobyczajności, zdarzałoby się rzadko. Okoliczność ta, w połączeniu z kilkoma dobremi przepisami hygienicznymi, uczyniłaby ludność zdrową i piękną. Urodzenia byłyby częstsze, średni wiek życia dłuższy. W skutek wszystkich tych przyczyn ludność wzrastałaby niezwykle. Wytworzyłby się stan Chin z większą moralnością, z większem ukształceniem i większym smakiem a bez tych buntów i rzezi, które kalają państwo niebieskie.“ Nakreśliwszy ten naiwnie sielankowy wizerunek, De Candolle dodaje, że „takie społeczeństwo nie mogłoby się długo ostać. Gdyby— powiada — w Europie lub krajach sąsiednich pozostało bodaj kilku potomków starożytnych greków lub rzymian, kantabrów lub celtów, germanów, słowian lub hunnów, wkrótce ujarzmiliby, zgnietli i zrabowali ową olbrzymią ludność izraelską.“ Według De Candolle'a żydzi tem są w świecie ludzkim, czem trawożerne śród drapieżców w królestwie zwierząt. I zkąd to pochodzi—pyta autor—że oni posiadają instynkta wyższej cywilizacyi? Nie jest to wynikiem religii, bo Stary Testament tchnie okrucieństwem i surowością, podczas gdy Nowy uczy łagodności. Nie jest to również skutkiem ich dziejowych kolei, lecz przyrodzonych usposobień i wczesnego rozwinięcia duchowego. „Już przed dwoma tysiącami lat posiadali oni uwagi godne pojęcia moralne i umysłowe,“ gdy tymczasem „chrześcijanie zaledwie wychodzą z barbarzyństwa.“ Środkowa Europa walczy ciągle z zastarzałemi gwałtami i rozbojem; południowa krwawą zemstę uważa za cnotę; przed dwoma jeszcze wiekami palono kacerzów i czarownice a na początku bieżącego stulecia wieszano w Anglii za najdrobniejszą kradzież.

Cały ów wywód ma chyba tę tylko zaletę, że w ocenieniu jego wartości krytyk może się bezpiecznie wyręczyć rozumem każdego logicznego czytelnika. Bukiet zachwytów szanownego przyrodoznawcy nie jest dla nas wonnym, lecz duszącym, tak duszącym, jak dla obcych są niewątpliwie uniesienia Koronowiczów i Krasińskich nad naszą nieporównaną, całemu światu nieznaną doskonałością. „Od szczytności do śmieszności krok jeden“—powiada francuskie przysłowie; De Condolle krok ten zrobił. Łatwo jednak pojąć, że ta apoteoza jego przydała się izraelitom w walce, w której ich odarto ze wszystkich instynktów cywilizacyjnych. Gorętszej pochwały nie napisałby im sam Mojżesz. Pierwszy raz chyba chrześcijańskie usta zatwierdziły tak uroczyście ich tytuł ludu wybranego, pierwszy raz chyba uznano ich za ziarnka czystego złota w mule barbarzyństwa całej ludzkości. Wszystkie narody, począwszy od polaków aż do hiszpanów, zarżnął De Candolle i zrobił z nich całopalenie na ołtarzu Abrahama i Jakóba.

Ofiarę tę okadził mocno drugi arcykapłan nauki K. Vogt. „Drzeć skórę z żydów! woła on we *Frank. Zeitung*. Dla czego? Dla tego, że są od was rozumniejsi? „O szlachetne barbarzyństwo pod skrzydłem junkrów i księży! Wzrosło ono śród wojen i gwałtów, a gdy rozdarło cienkie osłony, w które je spowinięto, dziwimy się, że wyciąga ramiona i tego uderza w twarz, bo ma garbaty nos, tamtego chwyta za gardło, bo ma pełną sakiewkę, innemu nogę podstawia, bo wysokie miejsce zajmuje!“

Jak gwałtownie całe Niemcy ogarnął antiżydowski pożar, dowodem to, że nawet stary, poważny, niemięszający się do spraw chwili Mommsen pospieszył go gasić. Nie podzielając bynajmniej zachwytów w stylu De Candolle'a i Vogta, oprócz samego protestu, wydał nadto broszurę [1]), która jest silnym strumieniem wody, zalewającym płomienie oraz chłodzącym głowy Treitschkego i Stöckera wraz z całą ich rzeszą. Wywód jego przenikają dwa główne nerwy: 1) że żydzi niemieccy są niemcami, przedstawiającymi nie większe odrębności od obywateli rozmaitych prowincyi i 2) że wszczęta walka rozrywa świeżą jedność państwa, które w niej „jak Saturn pożera własne swoje dzieci.“ „O ileż—pyta Mommsen—żydzi niemieccy są śród naszego narodu innymi, niż sasi lub pomorzanie? Prawda, że nie są potomkami ani Istewona, ani Ingewona, ani Hermina, wspólne zaś pochodzenie od ojca Noego nie wystarcza zapewnie, jeżeli niemca oznacza germańska próba przodków. Ale gdybyśmy naród niemiecki w obszernym jego stanie skorygowali według *Germanii* Tacyta, odpadłoby od niego więcej niż dzieci Izraela. Pan Quatrafage dowiódł niedawno, że tylko państwa środkowe są rzeczywiście germańskie, *a la race prusienne* stanowi massę złożoną z zaginionych słowian i innych rozmaitych odpadków ludzkości; a gdy później *la race prusienne* i *la race germanique* wymaszerowały razem jako wielki naród, pomału zaczęto nie dostrzegać żadnej między niemi różnicy... Jestem tego przekonania, że opatrzność wiedziała daleko lepiej niż p. Stöcker, czemu dla wyrobienia germańskiego metalu trzeba było dodać pewien procent Izraela... Wzajemna miłość nasza nie jest tak dawna, ażeby mogła nie zwietrzeć... Przyłączenie się do wielkiego narodu wymaga ofiary. Spłacili ją hanowerczycy, hesseńczycy, spłacamy i my szlezwig-holsztyńczycy, czując to dobrze, że poświęcamy jakąś część swej właściwości. Ale poświęcamy ją wspólnej ojczyźnie. I żydów żaden Mojżesz nie wprowadzi już do ziemi obiecanej. Czy sprzedają spodnie, czy piszą książki, jest ich obowiązkiem, o ile mogą bez gwałtu dla swego sumienia, pozbywać się wszelkiemi siłami odrębności i burzyć śmiało wszystkie przegrody, oddzielające ich od reszty obywateli niemieckich.“ Innemi słowy: Mommsen radzi żydom przyjmować chrześcijanizm nie jako religię, ale jako cywilizacyę. Nie idzie on tak daleko— przynajmniej w słowach—jak Heine, który może nie zupełnie żartobliwie wyraził się, że „metryka chrztu jest biletem wejścia do cywilizacyi chrześcijańskiej;“ bo sam przecież w bilet ten się zaopatrzył, chociaż nie przywiązywał do niego później żadnej wagi.

Przyznać trzeba, że okrzykowi „hajże na żydów!“, który, dzięki prof. Treitschkemu, przeniknął do uniwersytetu i pokalał czystość świątyni nauki, nawet z zagranicy Niemiec odpowiedziały przeważnie bądź szydercze, bądź potępiające chóry głosów. Jedni ujęli się za prawami prześladowanych ludzi, a drudzy, lepiej pojmujący istotę walki — za prawami pod tytułem żydowstwa napadniętych żywiołów wolnomyślnych.

Nakreśliwszy kontur tego obrazu, podpiszemy go krótkiem z naszej strony wyznaniem. Dla człowieka rozumnego, wszystkie plemienno-religijne waśnie przecina jedna droga: cygan, który przestał sypiać w lasach i kraść na podwórzu wieśniaczkom prosięta, gdy jego żona im w izbie przyszłość wróży; który osiadł stale, zaczął uczciwie pracować i przejął się uczuciami jakiegoś narodu, jest według nas jego obywatelem, nie zaś cyganem. Podobnie żyd, który przestał wyzyskiwać łatwowierność prostaczków, wyszedł z azyatyckiej odrębności, przyswoił sobie język i spełnia obowiązki przybranego społeczeństwa, jest jego członkiem bez względu na formę nosa i pozycyę wyznaniową w księgach ludności. Taka tylko jest formuła społecznego bratania się odmiennych żywiołów. Formuła ta pozwala nam uważać za istotnych a w danym razie za szkodliwych *żydów* takich ludzi, którzy śród pewnego narodu chcą stanowić i stanowią odrębną grupę różną odeń językiem, obyczajami, moralnością, stopniem oświaty, całą wreszcie naturą wewnętrznego i zewnętrznego życia. Po za granicami tego pojmowania toczone boje można tylko dopisywać do kroniki średnich wieków. *Liber.*

LIBERUM VETO.

Strachy niańki i nauczycielki. — Upiór z Upity. — Ślub dziecinny.—Drzewo wiadomości złego.—Kto może „nie pozwalać.“—Ludzkość idzie do *liberum veto*.—Katolicy pruscy, rekrut i obywatel. — Stańczycy. — Walewski i Lisicki.—Ziarnko piasku i piramida. — 1:9,999,999 — Tysiącoletnia bitwa —Turniej Ormuzda z Arimanem.— Białe dają mat czarnym. — Prawo jest ziemią.—Nawet morze Martwe posiada sól. — Chór i sola, harmonia i kontrapunkt prasy. — Pokazywanie języka całemu światu.—Drabina do nieba.—U bram Watykanu.

Niańka kazała mi się bać strachów, nauczycielka czytywała następnie rozmaite przerażające legendy — więc się bałem umarłych, duchów, nietoperzów, puszczów, wilkołaków, a między innymi także „upiora z Upity.“ Nauczycielka opowiadała, że to był człowiek okropny. Zerwawszy sejm i dawszy przykład późniejszym tego rodzaju zbrodniom, uciekł z Warszawy przed ogólną wzgardą, ale nie uciekł przed karą bożą. Wkrótce bowiem dom jego zapadł się w ziemię, ojciec matka i siostra zmarli ugodzeni piorunem, wreszcie on sam zginął od gromu. Ciało jego siedm razy ziemia wyrzucała a duch włóczy się dotąd po Polsce. Do dziś w kościołku Upity stoi upiór nagi, żółty, z rękami na krzyż złożonemi, z pochyloną głową. Naturalnie po takiej lekcyi, po której przez trzy noce oka zmrużyć nie mogłem, przysiągłem sobie raczej wszystko popełnić, niż zerwać jakikolwiek sejm, niż sprzeciwić się głosowi ogólnemu. Piękna rzecz zginąć od pioruna wraz z całą rodziną, być z ziemi siedm razy wyrzuconym, straszyć ludzi i pokutować jako upiór w kościołku! Nigdy! Dziecięcy ten ślub wzmocniły szkolne wykłady historyi, z których dowiedziałem się, że naśladowcy posła upickiego byli zawsze potępiani, a czasem zarąbywani i że oni to właśnie zgubili Polskę. Ale czego drapieżna myśl ludzka z serca nie wydrze!

[1]) Obszerny wyciąg z jego dzieła, wraz z uwagami K. Vogta, podały *Nowiny* w Nr. 342 z r. 1880.

[1]) *Auch ein Wort über unser Judenthum*, Berlin, Weidmann.

Wydarła też i mnie po mału moją przysięgę. Poznawszy bliżej dzieje nasze, przekonałem się ku wielkiemu mojemu zdumieniu, że Siciński, jego siostra, matka i ojciec skończyli żywot bardzo spokojnie; że nie on pierwszy sejm zerwał i że wprawdzie rąbano później „niepozwalających," ale tylko takich, którzy nosili przy boku dla obrony jedną karabelę i nie mieli za sobą ich setki. Kto bodaj raz ukąsił jabłko z drzewa wiadomości złego, ten pójdzie dalej drogą pierworodnego grzechu i coraz inne zakazane owoce pożywać będzie. I ja więc, przestąpiwszy przykazanię legendy co do posła z Upity, zacząłem pytać siebie: czemu piorun nie zabił a ziemia nie wyrzucała owego magnata, który na 30 lat przed Sicińskim sejm zerwał? czemu możnych słuchano pokornie, gdy krzyczeli: „nie pozwalam," a chudym pachołkom zatykano pięścią usta? Słowem, czemu—jak powiada Bobrzyński—„urażony w swej ambicyi magnat lub nawet jawny swego kraju zdrajca, jeśli się umiał zręcznie płaszczem stróża wolności osłonić, jeśli liczną miał klientelę, znajdował zawsze miałkie umysły, które za nim stanęły i do zburzenia każdej lepszej myśli mu dopomagały," a czemu szlachcic ze zwykłej gliny musiał za toż samo dźwigać brzemię hańby? Pytania te powiodły mnie do dwu, wyznaję, zdrożnych wniosków: 1) że poseł upicki nie był gorszym od innych, których upiory w kościołkach nie pokutują i 2) że „źrenica wolności" nie była może tak ślepą, jak mniemają niezliczeni operatorowie historyczni, którzy zdejmują z niej kataraktę. Bo zapomniawszy o rozpasanych lub służalczych przedstawicielach tej „złotej wolności, która — według słów wspomnianego dziejopisa—nienawidziła każdego, kto czy charakterem swoim, czy rozumem, czy nową myślą po nad tłumy wznieść się ośmielił" i która „przechodząc strychulcem całe społeczeństwo, wyciskała na niem rozpaczliwe piętno duchowej równości," zapomniawszy — mówię — o tych rycerzach dobrego stołu, rozważmy o co szło w zasadzie? O to, ażeby każdy obywatel kraju posiadał prawo nieuznawania woli większości lub nawet ogółu. Jeśli tak, to dziwiąc się wraz z innymi naiwnemu parlamentaryzmowi naszych przodków, który skrzywiwszy ową zasadę, pozwolił jednostce unieważniać wolę ogółu nie tylko dla niej samej, ale dla wszystkich, sądzę jednocześnie, że po najdłuższych walkach i postępach, pozbywszy się ciemnoty, fanatyzmu, przedajności, samolubstwa jednostek, ludzkość dojdzie do *liberum veto*. Gdyby Siciński nie był stargał obrad sejmowych, tylko się z nich wyłączył i opatrzył je swoim protestem, byłby twórcą najwyższej społecznej zasady i najznakomitszym obywatelem w Polsce, tak jak nim został w 120 lat później jego współziomek. Nic lepszego, wyższego, słuszniejszego nad tę zasadę ród ludzki nie zdobędzie, a zdobywa ją ciągle. Bo czemże są ostatnie mowy katolickich posłów w parlamencie niemieckim, którzy otwarcie głoszą, że nie uznają tak zwanych a przeciw nim wymierzonych ustaw majowych? Wprawdzie oświadczenie ich nie zrywa sejmu i nie obowiązuje ogółu: ale czyż ono nie jest wskrzeszonem, szlachetniejszem, bo nie wichrzącem *liberum veto?* Niedawno w Toruniu na placu, śród musztrujących się rekrutów, zauważyłem młodego chłopca, którego feldfebel kilkakrotnie szturgnął pod brodę kułakiem: chłopiec, widocznie wzburzony, uległ karności wojskowej, ale twarz jego wyrażała energiczne *liberum veto*. Innego razu byłem świadkiem oburzenia pewnego naczelnika, który poważnego obywatela za odmówienie mu w przejeździe powozu nazwał *bydlęciem*. Obywatel zniósł cierpliwie tę naganę, ale zaiskrzone jego oczy mówiły *liberum veto*. Zresztą, czyż śród nas samych nie odzywa się śmiało ten głos, ile razy go, jak dawniej, osłania—no, nie szereg karabel—ale szereg lokajów? Stańczycy krzyczą ciągle „nie pozwalam," a hr. Lisicki śmielej niż wszyscy Sicińscy zerwał jednomyślną uchwałę naszej polityki, chociaż ani go piorun wraz z rodzicami i siostrą nie zabił, ani mu ziemia pałacu nie pochłonęła, a jeśli kiedy stanie w kościołku krakowskim, to chyba po to, żeby ks. Golian odprawiał nabożeństwo przed jego relikwiami. Za daleko niewinniejszy protest niedawno jeszcze zwykłemu szlachcicowi A. Walewskiemu wybito w Krakowie szyby i zmuszono go do czuwania po nocach z nabitą dubeltówką; tymczasem hr. Lisicki zupełnie bezpiecznie robi coraz nowe wydania swej „trzeźwej" pracy i nawet żadna dama nie powie mu pogardliwie: a fe, hrabio! Czyż więc i dziś, jak kiedyś, co wolno... Jowiszowi, tego nie wolno wołowi? Czy prawo jest brylantową spinką, którą tylko pan przy atłasowym żupanie, nie zaś chłop przy kapocie nosić może? Czy—jak powiada Voltaire—jedni rzeczywiście przychodzą na świat z ostrogami u nóg, drudzy z siodłami na grzbietach? Zarówno księga rodzaju religii jak i księga natury nie mówią nic a nic o odmiennych gatunkach materyału, z którego urobieni zostali różni ludzie; zarówno przyroda jak i Bóg nie stworzyli z prostej gliny jednych a z pianki drugich. Nadto, ponieważ we wszechświecie nic nie ginie, każdy więc z nas może być pewnym, że najsłabszy jego głos nie przepadnie, chociażby przed nim wszyscy uszy swoje zatkali. Czy to was nie napełnia dumą? Mnie — wielką. Jestem przekonany, że każde moje, jak i wasze tchnienie staje się przyczyną szeregu skutków w naturze; a kto wie, czy ono w odległem następstwie swego wpływu wspólnie z innymi czynnikami nie spędza chmur z nieba lub nie topi okrętów w morzu. A jeżeli potężne wichry nie odbierają prawa wydobywania się lekkim oddechom, to dla czegóżby potężni ludzie mieli pozbawiać małych możności objawiania swych myśli? Gdybym był ziarnkiem piasku, leżącem u stóp piramidy i posiadał uczucie swego odrębnego istnienia, nie zrzekłbym się go dla tego, że ona jest wielką a ja małym.

To też gdyby nawet 9.999,999 ludzi powzięło jakąś jednomyślną uchwałę, któraby się sprzeciwiała tylko jednemu mojemu przekonaniu, nie narzucając go nikomu, nie wahałbym się jednocześnie w własnem imieniu przeciwko niej zaprotestować. Ale nie lękajcie się, czytelnicy; nie będziecie świadkami walki *Hercules contra plures*. Walkę taką w całej historyi udało się podjąć i wygrać zaledwie kilku największym geniuszom, którym ja myślę jedynie... rozwiązywać u nóg rzemyki. Co najwyżej więc patrzeć będziecie na starcia odmiennych zasad, odmiennych żywiołów, odmiennych szeregów, w których służę, jako prosty żołnierz. Główni wodzowie tej wielkiej tysiącoletniej bitwy, toczącej się na całym obszarze cywilizowanego świata, w której i nasze pułki literackie udział przyjęły—stoją na wyżynach, ogarniają wzrokiem ruchy obu zapaśniczych stron, wydają rozkazy i hasła. Gdy z omdlałych rąk wypuści buławę Kopernik, podejmuje ją i dalej hetmani postępowym rotom Kepler, Newton, Voltaire, Mill lub Darwin. Choć kierują zdaleka i do nas sięga ich komenda. Inaczej mówiąc, dzieje myśli ludzkiej są odmienną partyą szachów, rozegrywaną przez Ormuzda i Arimana, ducha białego i czarnego, my zaś w niej, stosownie do uzdolnień, rozmaitemi figurami. Zwycięztwo przechyla się kolejno na jedną lub drugą stronę, giną pojedyncze figury, okupując swą ofiarą powodzenie innych, rezultat jeszcze daleki, ale zdaje się, jak gdyby nad tą nieskończoną partyą błyszczał radośny napis: *białe* zaczynają i dają mat *czarnym*. W ilu posunięciach? Nikt nie obliczy; to tylko pewna, że obecnie czarne dostały na wielu polach jednocześnie bardzo niebezpieczny szach.

Na tych racyach, na tej podstawie, wbrew radom piastunek i nauczycielek, opieram śmiało moje *liberum veto!*

Przeciw czemu?

Przeciw bezprawiu, przeciw nieprawdzie, oraz całemu ich niezliczonemu potomstwu.

Komu los nie pozwolił być prawodawcą, temu nie pozostaje nic innego, jak być prawobiercą. Może to dziwne, ja jednak na wszelkie ustawy zapatruję się tak, jak gospodarz na ziemię. Uprawia ją i obsiewa; nie rodzi zboża, to sadzi na niej wierzby; mokra, to przerzyna ją rowami; sucha, to ją nawadnia; zachwaszczona, to piele — słowem wyciąga z niej niemiłosiernie wszystko, co tylko mu wydać może. Gdyby wiedział, że zorana, zmęczona rodzić będzie dukaty, siałby dukaty. Wytrwała praca jałowe piaski zamienia na warzywne ogrody; czemużby ona nie miała najlichszego prawa przerobić na dobre? Nie ma na ziemi rzeczy bezużytecznej. I w morzu Martwem, gdzie żadna ryba, żaden płaz utrzymać się nie zdoła, jest— sól. Na zgniłem torfowisku rośnie brzoza, karłowata, cienka, ale rośnie. Idzie więc tylko o to, ażeby mojego pola nikt nie niszczył i moich drzew nie wycinał. A jeśli niszczy, wycina, wtedy ja myślą czy słowem zakładam... *liberum veto*. Gdyby kto zaczął w moim stawie łowić ryby a w moim lesie strzelać sarny, to ja korzystając z prawa swobody od dziesięcin na czyjąś korzyść, powiadam wyraźnie: „nie pozwalam." Gdy pan nauczyciel zechce mi uderzyć dziecko w szkole to ja również „nie pozwalam." Każde prawo jest moją „źrenicą wolności," której wyłupić sobie nie dam.

Podobny użytek robię z mojego *liberum veto* w sprawach domowych. Śród większości naszych czasopism panuje głębokie przekonanie, że w nich nie powinny się odzywać głosy solowe, lecz chóry i to chóry śpiewające *unisono*. Różnić się mamy tylko brzmieniem naszych gardeł; można z nich wydobywać basy, barytony, tenory, alty, soprany, ale, broń Boże, odmienne melodye. Prassa nasza rozumie jedynie *harmonię*, ale nie wzniosła się jeszcze do pojmowania *kontrapunktu*, który jej się wydaje rozdźwiękiem. Jak to można—pyta ona—ażeby Piotr śpiewał co innego a Paweł co innego, i ażeby z tych sprzeczności splotła się całość zgodna? Ponieważ wierzę, iż to jest zupełnie możliwem, ponieważ jestem wyznawcą kontrapunktu w dziennikarstwie, więc, niezależnie od prawideł prawomyślnej harmonii, zanucę sobie czasem odrębne *solo*.

Jednym z jej warunków jest bałwochwalstwo dla siebie i pokazywanie języka całemu ucywilizowanemu światu. Najprzyjemniej dla naszego ucha brzmi pieśń, wysławiająca naszą wielkość i poniżająca małość niemców, anglików, amerykanów, francuzów, włochów itd. Pierwsi nie mają dostatecznej wiary, drudzy uczucia, inni wyższych upodobań, inni nakoniec moralności. Wcieleniem wszystkich cnot jesteśmy, według tej teoryi, tylko my. Jeżeli jaki Weinstok z Düsseldorfu, wspominając o naszej Bochotnicy, pomieści ją w powiecie olkuskim, natychmiast wybuchamy gwałtowym śmiechem i drwimy z niemieckiego „nieuctwa;" ale gdy który z naszych profesorujących badaczów nie wie, co niemcy przez ostatnie pół wieku w jego nauce zrobili, gdy który z naszych zasłużonych nie wie, że Liflandya jest tem samem, co Inflanty, to nic a nic nie szkodzi. My bowiem, jako lud wybrany, odbieramy naszą wiedzę za pośrednictwem natchnień prosto z nieba. Niebo to wyobrażamy sobie jako wielki strych, który wprawdzie wznosi się nad całym światem ale otwór do niego przebity nad naszą jedynie ziemią

i my też głównie mamy na tej górze prawo suszyć swoją bieliznę. Posiadając zaś taki przywilej, oparliśmy na nim swoją polityczną, społeczną i umysłową karyerę. Nie zginiemy, bo... spimy i śni nam się, że od nas do nieba wznosi się jakóbowa drabina, po której aniołowie zniosą nam szczęście; nie zginiemy, bo gdy zadzwonimy u bram Watykanu, zawsze wyjdzie kardynał Ledóchowski, spojrzy na nasze ręce, jeśli pełne, odbierze świętopietrze i pobłogosławi; jeśli puste, powie, że Ojciec drzemie, i zamknie drzwi przed nosem. Mamyż wiecznie wędrować po te błogosławieństwa i odpusty z napchaną kobiałką?

Liberum veto! *Veto* przeciwko niewolnictwu myśli, samochwalstwu, poniżaniu innych, bladze, kłamstwu, obłudzie, ultramontanizmowi i innym cnotom „podwójnej buchalteryi“ duchowej. Niech będzie pochwalona swoboda przekonań, sprawiedliwość, nauka, i tolerancya i prawda.

Złożywszy, wam czytelnicy, ten list uwierzytelniający, obejmuję mój urząd jako

Poseł prawdy.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

W dziale tym podawać będziemy krótkie sprawozdania i oceny nowych prac, bądź na niwie naukowej, bądź w dziedzinie poezyi, o ile one nie wymagają szczegółowszego i obszerniejszego rozbioru. Korzystając jedynie ze współpracownictwa ludzi umysłowo poważnych, spodziewamy się osiągnąć nietylko możliwą gruntowość, lecz i bezstronność krytycznych sądów. Zasada: „przyjacielem mi jest Plato, ale większą przyjaciółką *prawda*,“ która przenika całe nasze pismo, i w tej jego części nie utraci swej siły. Błąd nasz może być tylko mimowolnym, nigdy umyślnym. Zabierając głos publicznie, zapomnimy o przyjaciołach i nieprzyjaciołach, albo raczej pamiętać będziemy o jedynych przyjaciołach naszych, czytelnikach, którym zobowiązaliśmy się służyć prawdą naszego szczerego przekonania.

Wojna Chocimska, Merkuryusz nowy, Pełna, Peryody, Poświęcenie Syloreta, Wety parnaskie—Wacława Potockiego, (Biblioteka najceln. utworów), Warszawa, 1880.

Wojna Chocimska, mimo, że liczy już dwa stulecia, ukazuje się w druku dopiero po raz drugi.

Sam autor, trzymając się zasady:

Kto nieuważnie na blask idzie z cienia,
Znieść słonecznego nieraz nie może promienia.

i tając własne swoje autorstwo, nie ogłosił jej za życia. Dopiero w r. 1850 S. Przyłęcki, pobudzony przez J. Borkowskiego, wydał ją pod imieniem Andrzeja Lipskiego. Dopiero K. Szajnocha wykrył właściwe nazwisko autora. Oprócz niego, K. Mecherzyński, L. Nabielak, A. Bełcikowski i A. Tyszyński pomieścili w różnych czasopismach obszerne studya zarówno nad tym poematem, jak i nad całą działalnością Potockiego.

Merkuryusz Nowy (wydrukowany po raz pierwszy w r. 1843, powtórzony w r. 1865) i *Pełna* (wyd. pierw. 1678, później 1845) są również poematami historycznymi, opiewającymi bohaterskie czyny Jana III.

Peryody—to *treny* poety na śmierć syna Stefana. Za wzór służył tu widocznie Kochanowski, chociaż nie natchnął swego naśladowcy równą głębokością uczucia. Brak jej stara się Potocki wynagrodzić szumnym chrzęstem poetycznych skrzydeł, w których tkwią dość obficie mitologiczne pióra. Różnica ta jest nietylko różnicą stopnia uzdolnień dwu nierównej miary pisarzów, ale nadto właściwością autora *Wojny Chocimskiej* i nastroju jego epoki. Są wszakże ustępy w wyrażeniu swem bardzo silne, jak np.:

Pisać czy płakać będę, czy oboje razem,
Nieznanego frasunku zmieszany obrazem?
Płakać oko a serce wielkość mojej szkody
Pisać każe...

. . . .

Trudno patrzeć, komu śmierć źrenice wytoczy,
Nic nie widzę przed sobą tylko grób i mary.
Próżno mi przyjaciele kładą okulary
Świeckich pociech...

Peryody ogłosiła w znacznej części *Biblioteka Ossolińskich* (1864—5); do 14 jednak tam pomieszczonych dodano z rękopisu 4, tak że całość ukazuje się po raz pierwszy.

Do większej uwagi niż powyższe, przeważnie znane i przez wspomnianych badaczów oceniane utwory Potockiego (wraz z krótkiem *Poświęceniem Syloreta*), zobowiązuje nas ostatnia grupa wierszy drobnych p. t. *Wety parnaskie*. Oprócz dwudziestu ogłoszonych poprzednio, bądź w *Jovialitates* (1747) bądź w *Bibliotece Ossolińskich* (1865), daleko liczniejsza reszta występuje w druku po raz pierwszy. Przedmiotem tych krótkich, ostrych wierszyków są rozmaite stany, śmieszności, nadużycia oraz zabawne wypadki. Trudno rzec, ażeby one były wszystkie dowcipne; owszem często — mówiąc słowami samego poety—„koniec niski, wysoki początek.“ Przytem nadmiar archaizmów i zawiłość składni utrudniają albo nawet uniemożliwiają wydobycie myśli, zwłaszcza, gdy ją autor w krótkich formach wiersza posieka (np. *Ateistowie*, *Turcy* i t. d.). Ze szczególnem upodobaniem kole Potocki swym sarkazmem księży i wtedy, przyznać trzeba, humor tryska mu z pod pióra najweselszy. Przekona o tem kilka próbek, a naprzód *Kazanie wielkopostne*.

Pił pleban w wielki czwartek z wikarym do świtu,
Więc gdy wedle starego na ambonę kwitu
Iść przyszło, rzecze pleban: „mój księże wikary,
Żal mi Pana Jezusa bez końca, bez miary.
Że słowa rzec nie mogę; proszę miły panie,
Chciejcie za mnie powiedzieć tak smutne kazanie.“
Ten też gdy głowę studzi gorzałczanym dymem:
I mnie-ć go żal i mnie-ć był pewnie nie ojczymem.
Tak nic nie powiedziawszy, obadwa przed żalem
Poszli spać do komory miasto Jeruzalem.

Nie mniej dowcipnym a w odniesieniu do swej epoki godnym podznaczenia jest inny wierszyk *Do ojców Societatis*, gdzie autor, mówiąc o wymuszaniu wiary mieczem, dodaje:

Tylko zaś nie wiem, jako przywieść to do pary,
Gdy pismo wiarę liczy między boże dary.
Przymuszać kogo, żeby wziął, czego nie może,
Zda się, że taki człowiek wpada w słowo Boże.
I wierę, szkoda by się ludziom o to kusić,
Gdy co Bóg z łaski daje, człek w człeka chce wmusić.

Reformatom bosym znowu radzi poeta:

. . . . . że usta raczej trzeba z głowa,
Niżeli nogi nosić modą Chrystusową.

Dowcipną daje Potocki odpowiedź na pytanie: *Czemu księża łakomi?*

Każdy się z nas uskarża, każdy się z nas dziwi,
Że tak barzo łakomi księża i tak chciwi.
Póki klerykiem to nic, jak wnijdzie do cechu,
I żywych i umarłych drze pleban do zdechu.
Aż ja widzę w Krakowie przy tej ceremonii,
Gdy biskup, święcąc księdza, smaruje mu dłoni.
Czemuż nie głowę?..

. . . .

Lepiej mu było głowę niż ręce namazać,
Pilniej niż groszów chwytać, uczyłby się kazać.

Z tych przytoczeń można odtworzyć sobie humor rozlany w *Wetach*. Przyznać musimy, że jest on niepodległejszym, chociaż o dwa wieki od naszego starszym. Gdyby kto dziś pozwolił sobie tak bez skrupułu ośmieszać księży, zapisanoby na jego sumieniu wszystkie zdrady i zbrodnie. Ale przodkowie nasi nie rozdawali nikomu przywileju na nietykalność, ich satyra miała w swej dyscyplinie tyle rzemyków, ile było śmieszności. Pod tym względem dorastamy im zaledwie do kostek.

Redakcya *Biblioteki najcel. utworów* objaśnia w przypisku, że nie mogła wydrukować wszystkich *wetów* z powodu „zbyt sliskiej ich *treści*.“ Czy treści? Zdaje nam się, że usprawiedliwienie to zbyt... śliskie. Jeśli idzie o treść, nic nieprzyzwoitszego odtrącone wiersze nie mogły zawierać od takich pomieszczonych w zbiorze, jak: *Na damy*, *Niepłodne*, *Białogłowska chciwość* i t. p. Chyba więc na przeszkodzie stanęła *forma*. Co do samej zasady cenzurowania starych rękopisów w druku, to jakkolwiek odczuwamy wszystkie względy, nakazujące popularnemu wydawnictwu pewną ogledność w wyborze, żałujemy jednocześnie, że pewna część płodów myśli naszej, dostarczająca wymownych świadectw moralności lub smaku czasów minionych, pozostaje ciągle w ukryciu archiwalnem.

Niezależnie od tej uwagi za wydanie nieznanych pism Potockiego a nawet za powtórzenie już ogłoszonych należy się redakcyi *Biblioteki najceln. utworów* szczere i zasłużone uznanie. Wyrażamy je zaś tem bardziej, że dotąd, o ile nam wiadomo, ani jedno pismo nie dostrzegło lub nie wspomniało, że w Warszawie wydrukowano po raz pierwszy poezye koryfeusza XVII w. Gdyby Wacław Potocki żył między nami, był reporterem i „zamierzył“ coś napisać, niezawodnie byśmy o tem na drugi dzień się dowiedzieli. *K.*

Historya Filozofii Fr. A. Langego w przekładzie A. Świętochowskiego, Warszawa, 1881—zeszyt 1 i 2.

Trwale i rzetelnie zasłużył się ogółowi naszemu wydawca (B. Lesman), podjąwszy w polskim przekładzie kosztowne wydanie tego obszernego i nieocenionego dzieła. Podobne przedsięwzięcie u nas wymaga zaiste wszelkiego rozbratu ze spekulacyą, u nas, gdzie niechęć do książek poważnych, nienamagnesowanych interesem chwili lub niewoniejących prawomyślnością jest tak wrodzona ogółowi i tak pielęgnowana przez jego piastunów. Wypuszczone dotąd zeszyty obejmują dwa wielkie okresy filozofii: starożytną i tak zwaną przez autora epokę przejściową. Ponieważ Lange zajmuje się głównie dziejami materyalizmu i kierunków mu przyległych, znajdujemy więc tu naprzód obraz starszej atomistyki a szczególnie systematu Demokrita, dalej sensualizm Sofistów i etykę Aristippa, reakcyę przeciwko materyalizmowi i sensualizmowi w osobach Sokratesa, Platona i Aristotelesa, teoryę Epikura oraz zawarcie poematu Lukrecyusza. Okres drugi mieści w sobie rozbiór i historyę stosunku wierzeń monoteistycznych do materyalizmu (averroizm i mahometanizm), scholastykę oraz związane z nią pojęcia aristotelesowskie o materyi i formie, (nominalizm i realizm), wreszcie zmartwychwstanie poglądów materyalistycznych z odrodzeniem się nauk (Pomponacyusz, Nicolaus de Autricuria, L. Valla, Kopernik, G. Bruno, Baco, Descartes). Dzieło Langego nosi w oryginale tytuł: *Geschichte des Materialismus*; tłómacz nazwał je *Historyą Filozofii* dla tego, że ono, jakkolwiek w nierównej mierze, ogarnia całe dzieje myśli filozoficznej i na ich dopiero tle kreśli szczegółowo rozwój materyalizmu; dla tego wreszcie, że zarówno sam autor jak i jego niemieccy krytycy do takiej zamiany nagłówka upoważnili. Nie potwierdziło jej przecież kilku naszych sprawozdawców, z których jedni dostrzegli potrzask na bogobojnych czytelników, a drudzy, oparci na 96 stronnicach pierwszego zeszytu, zawyrokowali, że w 1,000 owych stronnic znajduje się tylko materyalizm. Już wszakże drugi zeszyt, poświęcony w znacznej części Aristoteleso-

wi, powinienby ukoić żal przynajmniej tych, co się upominali za pokrzywdzonym Stagiritą. Z drugiej strony przyznać trzeba, że z paru pism odezwały się sądy życzliwe i poważne, jak gdyby pamiętające o końcowych słowach Langego: „Szczęśliwe natury utrafiają porę; myślący jednak spostrzegacz nie powinien nigdy milczeć, chociaż wie, że go w tej chwili niewielu słuchać będzie.“

Ocena przekładu, który pasować się musi zarówno z filozoficznem bogactwem mowy niemieckiej jak i ubóstwem naszej— nie do nas należy. Napotykane trudności pojmą należycie ci, którzy je kiedykolwiek próbowali pokonać.

Zarys rozwoju wiedzy o ziemi na tle historyi odkryć geograficznych skreślił Dr. Franciszek Czerny, Warszawa 1881.

Nie w szkarłat i złoto przystrojona, a jednak świątecznej szaty gwiazdkowej godna książeczka, która nakładem redakcyi *Wędrowca* weszła bardzo skromnie do popularnej literatury naszej. Opowiada ona w ogólnych rysach historyę badań geograficznych, począwszy od najdawniejszych podróży ludów wschodnich, aż do najświeższych wypraw europejskich. Autor, panując nad przedmiotem, przedstawia nadzwyczaj umiejętnie główne postępy wiedzy o ziemi, kreśli treściwie ważniejsze odkrycia i wiąże je w doskonale zwartą całość. To też praca jego mogłaby z wielkim pożytkiem zbogacić każdą bibliotekę gimnazyalną a nawet studencką, zwłaszcza, że nie poprzestając na samej historyi przedmiotu, przedstawia naczelne jego zagadnienia w teraźniejszości — że tak powiemy— porządek dzienny geografii.

Niezmiernie ważną zaletą tej książeczki jest czysty i bardzo staranny język. Tem nieprzyjemniej na tle poprawnem uderzają jego nieliczne wprawdzie, ale rzeczywiste usterki, jak np. „wątpić *w* rzetelność relacyi,“ „nie spotkał *jak tylko* dwie maleńkie wysepki“ i t. p.

Wiara Słowian, z obrzędów, klechd, pieśni ludu, guseł, kronik i mowy słowiańskiej, wskrzeszona. Napisał Romuald Świerzbieński Kand. Pr., Dr. Med. Warszawa, 1880, w 8-ce w. str. 42.

Do nieśmiertelnych imion Wolańskiego i Czarkowskiego przybywa nazwisko autora książki, której powyżej tytuł wypisaliśmy. I jakiej książki! Wyobraźmy sobie pewną ilość zrozumiałych i niezrozumiałych wyrazów, zmieszanych w sposób dowolny, a potem zapisanych na cierpliwym papierze: tak powstają podobne ramoty. Że są ludzie, którzy je piszą, temu się nie dziwimy, pomni na wspomnianą własność papieru; ale, że odważają się pisane drukować, to już przechodzi granice teoryi logicznego prawdopodobieństwa.

Pan S. zapowiedział „wskrzeszenie“ wiary Słowian na podstawie ich mowy; zapowiedź szumna; ale cóż, kiedy o wiarozna wstwie i językoznawstwie słowiańskiem w nowszym stopniu rozwoju nie posiada on najmniejszego wyobrażenia; a cokolwiek zdaje mu się, że wie o tych dwóch naukach, to wie opacznie lub niedokładnie. Praca jego w ogóle podpada pod kategoryę objawów psychyatrycznych, a szkodliwą jest, bo sieje fałsze, upozorowane tonem wyroczni.

Wchodzić w polemikę, obalać jedno po drugiem twierdzenie pana S., żaden człowiek przy zdrowych zmysłach się nie podejmie. *Guarda e passa!*

Dla ubawienia czytelników, oto wyjątek z książeczki (str. 14), a po nim nieco wyrazów i słoworodów autora (przecinkowanie oryginału zostawiamy nietkniętem).

„Z powyższych danych wysnuwamy taki wniosek:

Stwórcę i kierownika świata nazywali słowianie Rokiem. Cały obszar ich ziemi dzielił się na soroki. Każdy sorok składał się ze czterdziestu wsi; i był okrańczony (tak!) miedzą; której kopiec węglowy służył za uroczysko. Przy każdem uroczysku było dwanaście cudnych dziew, czterech guślarzy i otrocy. Każden z guślarzy miał nadzór nad czwartą częścią soroka. Na uroczysku, okrom tych służebników, chowano istoty służące do gadania (*gady*); między którėmi znajdowały się sroki, *sroki*. Ich skrzeczenie...“ i t. d. i t. d.

Doprawdy, zdaje się, że autor za wiele podsłuchywał „ich skrzeczenia...“

Czy się godzi nie wiedzieć dzisiaj, od czego pochodzi wyraz *sorok* w znaczeniu czterdzieści? Czy wolno twierdzić, że słowa, brzmiącego po rosyjsku *srok*, po polsku niema? Czy przyzwoicie jest *dowód* i *wywód* wyprowadzać od *wodą*, *gęśl* od *gęsi*, *trok* od *rok*, *czystość* od *uroczystość*? Czy przystoi pisać *księdzy*, *księdzów*, *poszanę*, *przezsięstojne* i t. p?

Niedawno profesor Jagicz użalał się, iż kraj nasz obdarza nie dość rzadko literaturę słowiańską „Mohikanami.“ Niestety, skarga to uzasadniona wobec takiego objawu, jak „Wiara Słowian“ pana S...

Miejmy nadzieję, że szanowny autor będzie „ostatnim Mohikanem.“

Jan Karłowicz.

NAUKOWE WYNIKI POSTU TANNERA.

Historya czterdziestodniowego postu Tannera przebrzmiała jako legenda, dostarczająca strawy dziennikarskim kaczkom, które tak obficie lęgną się w prasie amerykańskiej i przepływają do europejskiej— ale nie przebrzmiała jako naukowe doświadczenie. Gdy już plotki nagadały się do syta, wystąpili uczeni i odgarnąwszy chwast humbugów, pokazują nam prawdę. W jednem z najpoważniejszych pism medycznych, w *Wiener Medicinische Monatschrift* znany lekarz nowojorski Dr. G. W. Nachel złożył urzędowe sprawozdanie o głodzie Tannera, nad którym, jak zapewnia, czuwało liczne grono sumiennych specyalistów. Ze sprawozdania tego powtórzymy główne wyniki.

A naprzód kilka wiarogodnych szczegółów z życia bohatera.

Dr. Tanner jest anglikiem, urodzonym w Turnbridge-Wells, w hrabstwie Kent. W roku 1848, mając lat 17, wyjechał do Ameryki. Początkowo pracował u stelmacha w stanie Ohio, ale czując gwałtowną chęć do medycyny, wstąpił na kursa lekarskie i skończył je w Cincinati. Podczas wojny o wyzwolenie murzynów służył w armii jako prosty żołnierz, a następnie będąc lekarzem, praktykował kolejno w rozmaitych miastach. Zajmował się głównie chorobami organów trawienia, w odczytach zalecał umiarkowany sposób życia i wykazywał korzystny wpływ kilkodniowego postu na organizm. Jeżeli doznawał jakichkolwiek zaburzeń w trawieniu, nic nie jadł przez 5 do 12 dni i taką głodową kuracyą zmuszał swój żołądek do posłuszeństwa; nie zaniedbywał przytem praktyki, robiąc dziennie po 9—10 mil angielskich pieszo. 18 lipca 1877 roku rozpoczął swój pierwszy wielki post i wytrzymał wtedy—jak twierdzi—42 dni bez żadnego pożywienia, pijąc tylko wodę. Publiczne powątpiewania o rzetelności tej próby dotknęły go boleśnie. Ogłosił więc, iż gotów jest ją powtórzyć z warunkiem, że wątpiący złożą 5,000 dolarów. Zakładu tego jednak nie przyjęto. Gdy później rozeszła się pogłoska w dziennikach amerykańskich, że panna Molie-Faucher wytrzymała dwa tygodnie bez wszelkiego pożywienia, nie utraciwszy sił. Dr. Hammond, prezydujący w Neurologicznem Towarzystwie w New-Yorku, zaproponował, aby zechciała poddać się podobnemu lecz czterotygodniowemu doświadczeniu za nagrodą tysiąca dolarów. Wtedy Tanner objawił gotowość zastąpienia jej, ale ponieważ nie chciał pościć w domu Hammonda, ten więc nie zgodził się, uważając go za oszusta. Tanner oświadczył, że podda się próbie w Kollegium medycznem Stanów Zjednoczonych, pod kontrolą przeznaczonych ku temu lekarzy. Główny nadzór miał być powierzony Dr. Gunnowi rektorowi tego zakładu a przydani mu wykładający profesorowie. Przed rozpoczęciem doświadczenia, Tannera dokładnie zbadano. Miara piersi wynosiła 40 cali, bioder 39, wzrost 5 stóp i 3 cale, waga ciała $157\frac{1}{2}$ funtów, pod skórą był znaczny zapas tłuszczu. Puls od 84 do 96, przeciętny 88. Temperatura 99 stopni Fahrenheita = 37 Cels. Post rozpoczął się 28 czerwca o 12 godzinie, tak, że przypadał w czasie największych upałów. Tanner pił w ciągu pierwszych 16 dni tylko raz dziennie, po 4 uncye (120 grammów) wody. Później, w miarę pragnienia, pijał najwięcej 77, najmniej 8 uncyi, razem wypił 667 uncyi, czyli 20 litrów. W pierwszym tygodniu chodził codziennie przez pół godziny po parku. Od 25-go dnia zaczął doznawać mdłości i wymiotów, oraz silniejszego wydzielenia żółci skutkiem podrażnienia, spowodowanego twierdzeniem lekarza, że jeden z posługaczów dawał mu pożywienie. Począwszy od tego czasu, Tanner coraz bardziej tracił siły i dopiero gdy zdecydował się pić wodę nasyconą kwasem węglanym, zdołał bez niebezpieczeństwa dokończyć postu. Z wyjątkiem silnej drażliwości przy końcu próby, przez cały czas objawiał najlepszy humor. Stan umysłu był również prawie normalnym i tylko pamięć nieznacznie osłabiona. Sprawozdanie lekarskie podaje dokładną tabelę pulsu i oddychania, jakoteż rozbiór moczu. Najgodniejszem uwagi jest to, że w ciągu całych 40 dni i jeszcze 22 godzin po skończeniu postu, Tanner nie miał żadnych wypróżnień co stanowi najlepszy dowód, że w istocie nie jadł. Waga wynosiła z początku (28 czerwca) $157\frac{1}{2}$ funtów, ku końcowi postu (7 sierpnia) $121\frac{1}{2}$ funta, stracił więc na wadze 36 funtów. Dowodzi to, że ludzki organizm w pewnych warunkach może żyć przez dni 40, zużywając jedynie $40\frac{1}{2}$ funtów wody i 36 funtów własnego ciała. Stratę wagi Tanner odzyskał nadzwyczaj szybko. Z początku żywił się wyłącznie kawonami i pokarmami roślinnymi. Jakkolwiek lekarze byli temu przeciwni, oświadczył, że taką dyetę uważa za najwłaściwszą, gdyż i poprzednio po dokonanym poście posłużyła mu ona wybornie. Po ośmiu dniach zdołał wynagrodzić poniesioną stratę na wadze i dopiero powoli zaczął używać mięsa i wina.

Wynik więc doświadczenia Tannera powinien być przykładem dla chorych, którym przepisano wstrzymanie się od pokarmów, oraz dla tych, którzy bądź skutkiem rozbicia się okrętu, bądź z innych powodów, są wystawieni na dłuższy głód. Wynik ten pozwala wnioskować, że obawa szybkiej śmierci daleko niekorzystniejszy wpływ wywiera i bardziej rujnuje siły od doznawanego głodu.

Co do osoby eksperimentatora, na podstawie tego wiarogodnego świadectwa przyznać trzeba, że nie jest on bynajmniej wyrafinowanym oszustem, ani nawet goniącym za oryginalnością blagierem—jak ku wielkiej wierze tłumu głosiły obce a za niemi nasze gazety—lecz co najmniej sumiennym i naukowym maniakiem, który postanowił świat nawrócić do swego przekonania a przy tej sposobności rozświetlił częściowo ważną zagadkę.

Dr. P. M.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Pomimo ciągłej chwiejności, która od daty słynnego berlińskiego traktatu jest najwybitniejszą cechą położenia politycznego Europy, rzec można, że dawno struna nie była tak naciągniętą, jak w teraźniejszej chwili noworocznego przełomu. Pozornie panuje cisza; sprawozdawcy codzienni bywają nawet w kłopocie, z powodu braku interesujących wiadomości. Stan ten jednakże objaśnia się tylko tym faktem, że mózg dyplomacyi wyczerpał się już do ostatnich możliwych granic w wynajdywaniu tymczasowych środków zażegnania przesilenia, które tak zwany „koncert europejski“ zamieniłoby w szaloną muzykę burzy, mającej w swym piorunowym ogniu skrystalizować ideę przekształcenia wschodu. Ostatnim środkiem, wymyślonym jeszcze w gabinetach ministeryalnych, jest projekt załatwienia sprawy turecko-greckiej zapomocą sądu rozjemczego. Wniosek ten, podany od rządu francuskiego, napotyka na trojakie przyjęcie: mocarstwa, które na konferencyi berlińskiej wytknęły nową granicę Grecyi, lecz bez sposobu wykonania tej uchwały, traktują go przychylnie, przynajmniej napozór, gdyż spodziewają się znaleźć w nim pożądaną tamę przeciw dalszym powikłaniom i chwilowe chociaż uspokojenie; Turcya, dla której sam fakt ponownego rozpatrywania sprawy znaczy unieważnienie w zasadzie postanowień konferencyi berlińskiej, wydaje się dość skłonną do przyjęcia sądu polubownego, wszelako pod pewnymi warunkami; Grecya wreszcie, obstając przy wykniętéj już granicy, ani słuchać nie chce, jak dotąd, o żadnych ponownych roztrząsaniach tego, co raz, jej zdaniem, jako nieodwołalne postanowionem zostało. Małe królestwo heleńskie zbroi się przytem, otwarcie zapowiadając gotowość, nawet dążenie do wojny, w przekonaniu, że gdyby nawet poniosło porażkę, Europa nie będzie mogła na jego upadek pozwolić. Tym sposobem, ponieważ do urzeczywistnienia sądu polubownego niezbędnem jest przyzwolenie obu stron spornych, widoki powodzenia projektu p. Barthelemy są bardzo słabe a katastrofa prawdopodobną.

Wewnętrzne położenie pojedyńczych państw europejskich, o ile zwłaszcza dotyczy tak zwanych wielkich mocarstw, również nie wesoły ma wygląd. Najwięcej uderzający objaw—to nadzwyczajne obniżenie poziomu potęgi angielskiej, która znajduje się obecnie w stadium szybkiego podążania, jeśli nie do upadku, to niezaprzeczenie do dawno niebywałego osłabienia. Świeża to przecież rzecz, nikogo niepobudzająca do protestu, że każdy anglik chełpił się swojem znaczeniem w świecie. Dumne starożytne: *civis romanus sum*, przyswoili sobie w naszych czasach synowie „królowej mórz,“ której potęga, nawet bez milionowej armii, nie podlegała najmniejszemu wątpieniu. W porównaniu z tym stanem dziwnie pobladła teraz gwiazda Albionu. Kolonialna polityka Anglii doznała silnych ciosów przez wojnę afganistańską i boje w południowej Afryce, gdzie w ostatnim czasie ogłoszono niepodległą rzeczpospolitą, a sprawa irlandzka podważyła fundamenta organizacyi socyalno-politycznej zjednoczonych królestw. Łącznie z tem i wpływ angielski na międzynarodowe sprawy, a w szczególności na kwestyę wschodnią zeszedł prawie do zera. Sesya parlamentu, rozpoczynająca się za tydzień, zapowiada się bardzo burzliwie, a z wielu stron przepowiadają upadek gabinetu Gladstona.

Na stałym lądzie Europy stosunki wewnętrzne państw nie przedstawiają wybitniejszych rysów położenia, z wyjątkiem może Włoch, gdzie prąd republikański zyskuje coraz więcej gruntu. Austrya—jeśli porównania tego użyć można—zostaje ciągle w brzemiennym stanie, nie mogąc urodzić ustroju samorządnego, pomimo obiecujących zapowiedzi. Akuszerya hr. Taaffego i prawicy Izby deputowanych okazuje się w zastosowaniu mało praktyczną; czesi zaczynają już pojedyńczo składać mandaty poselskie — a agitacya opozycyjna centralistów urosła ostatniemi czasy do wielkich rozmiarów.

To samo co o Austryi, powiedzieć można o Niemczech, których młodociane cesarstwo bardzo mizernie się chowa w ręku pedagoga z Friedrichsruhe. Po dawnemu zwiększają się tam finansowe ciężary, po dawnemu tłumią się wszelkie usiłowania rozdarcia reakcyjnej opony. Jedyny objaw dodatni — to odpadnięcie pewnej liczby posłów od nacyonalno-liberałów i przybytek kilku mandatów postępowcom, co pozwala wnosić, że przyszłe wybory wydadzą może mniej automatyczny parlament.

Kontrast zupełny z tym ponurym obrazem stanowi rzeczpospolita francuska, umacniająca się ciągle, pomimo wrzenia stronnictw i namiętnych walk radykalistów i reakcyonistów. Po załatwieniu się z kongregacyami, rzeczpospolita podjęła teraz dalszy ciąg prac organicznych, w rzędzie których stoi na porządku dziennym ustawa o powszechnem obowiązkowem nauczaniu. Jedyne to państwo, które równym krokiem rozwija świetny byt materyalny i postęp cywilizacyjny. W zagranicznej polityce francuzkiej odznacza się w tej chwili taktyka równoległego postępowania z Niemcami i Austryą, która ma tę dobrą stronę, że zachowuje Francyi wolną rękę wobec Niemiec na przypadek rozprawy odwetowej, nie ciągnąc kraju w zawikłania, któreby dziedziczny wróg mógł wyzyskać.

Rosya wreszcie, zajęta głównie organizacyą wewnętrzną, zachowuje się w stosunkach międzypaństwowych tylko w roli członka „koncertu,“ nie przedsiębiorąc samodzielnych kroków. W krótkim tym obrazie obecnego położenia, należy się jeszcze wzmianka małemu państewku, Belgii. W 50 rocznicę wyzwolenia politycznego, dokonała Belgia i wyzwolenia się moralnego z pod przewagi kuryi rzymskiej, inaugurując nową epokę, pełną najpiękniejszej nadziei na przyszłość.

S. S.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Kronika zawierać będzie luźne i krótkie wiadomości ze wszystkich dziedzin życia społecznego, umysłowego i artystycznego. Nie chcąc zbyt daleko sięgać wstecz i ogarniać faktów, nieobjętych zakresem czasu istnienia *Prawdy*, zapisujemy dziś tylko doniesienia ostatniej chwili.

Literatura. Zacnej działalności księgarnia nakładowa Orzeszkowej i Sp. w Wilnie w dalszym ciągu swego wydawnictwa ogłosiła: W. Przyborowskiego *Włościanie u nas i gdzieindziej*, szkice historyczne; E. Orzeszkowej *„Pokociło się“ i „dam nogę,“* rozmowa dwu braci; oraz M. Konopnickiej *Fragmenty dramatyczne*. O pracach tych pomówimy szczegółowo.

Klemens Kantecki. *Stanisław Poniatowski*, kasztelan krakowski, ojciec St. Augusta, tom. dwa, Poznań.

Dr. M. Straszewski prof. uniw. krak. ma wydać niedługo *Historyę filozofii* własnego opracowania.

Dr. I. J. Ossowski wykończył pracę o Litwie pruskiej, która ma być drukowana w *Wędrowcu*.

Julian Kołaczkowski wydał ciekawą źródłową monografię: *Wiadomość o dawnych fabrykach w Polsce*. Układ dzieła słownikowy.

Prasa. Ostatniem z szeregu zapowiedzianych na rok nowy pism jest tygodnik dla „panien“ p. *Wiosna*, wydawany i redagowany przez p. M. Ratyńską, redaktorkę *Nowych Mód Paryzkich*. Cena roczna 4 rs. na prowincyi 5.

Uniwersytet Warszawski. Egzamina, na mocy których przyznawano studentom stypendya, zostały zniesione. Jednocześnie należałoby jednak pomyśleć o odpowiednim sposobie wyboru zasługujących na wsparcia i spełnianiu woli zapisodawców.

Sprawy społeczne. Służebności u nas zostaną wkrótce ostatecznie uregulowane. Nad przedmiotem tym obradują obecnie w Petersburgu wyższe władze Królestwa, które niezadługo przystąpią do czynnego rozplątania powikłanych i uciążliwych stosunków ziemskich.

Mnożące się na prowincyi przestępstwa zwróciły uwagę odnośnych władz na przyczyny bezskuteczności śledztwa pierwiastkowego w sprawach karnych. W tym celu prokurator warszawskiej Izby Sądowej zebrał osobną komissyę, której orzeczenia zakomunikowano ministerium sprawiedliwości. Pomiędzy licznymi środkami, zaproponowanymi przez ową komisyę, zasługuje na podznaczenie zupełna zmiana policyi sądowo-śledczej, która całkiem ma być niezależną od pozostałej policyi państwowej i której skład rekrutowałby się z ludzi, obeznanych ze śledztwem sądowem. Pewna ilość członków zaproponowała przytem natychmiastową zmianę systemu dochodzenia pierwiastkowego, które zamiast charakteru inkwizycyjnego powinno uzyskać charakter oskarżający, to jest powinno mieć te same rękojmie, co i śledztwo sądowe.

Archeologia. P. K. Przyszychowski odkopał w pow. czehryńskim, koło wsi Bałandyny, stary grób, w którym znalazł resztki szkieletu w siedzącej postawie, łzawnicę, popielnicę, naszyjnik, szpilkę i kolczyki. Żadnych jednak wywodów z wykopaliska tego nie robi; przesłał tylko rysunek znalezionych przedmiotów *Tygodnikowi Illustrowanemu* (N. 261).

Literatura rosyjska. A. I. Łomaczewskij ogłosił swoje pamiętniki z czasów urzędowania w Wilnie od r. 1839—40 p. t. *Iz wospominanij żandarma*, Petersburg. Jest to książka niezmiernie ciekawa i nas blisko obchodząca.

A. Gradowski. *Trudnyje gody*, Petersburg.

Prof. Iwaniukow, *Osnownyja położenia teoryi ekonomiczeskoj polityki*, Moskwa. Jest to historya teoryi ekonomiczno-politycznych od A. Smitha do dzisiejszych czasów. Praca poważnie naukowa.

A. Smirnow wypuścił w Kazaniu pierwszy tom swej *Istorii anglijskoj etiki*. Nad poważną tą pracą, łącznie z innemi pokrewnej treści, zastanowimy się osobno.

Sprawy społeczne Galicyi. Stowarzyszenie lwowskie „Spójnia“ podało do wydziału krajowego prośbę o wyznaczenie komisyi, którąby zbadała stan rzemiosł. Według niej, 50,000 warsztatów rękodzielniczych grozi niechybna ruina.

Spółka tarnopolska utworzyła „komisyę rady i pomocy dla ziemian.“ Zadaniem jej ma być zapobieżenie wywłaszczeniu oraz ochrona interesów właścicieli większych i dzierżawców. Jak wyraźnie rysują się baltazarowe głoski na ekonomicznym bycie ziemian galicyjskich, przekonywa nietylko sama potrzeba podobnej komisyi, ale i obowiązek skłaniania obywateli do *oszczędności i regulowania* ich interesów. Smutnie kreśli obraz Galicyi korespondent *Kłosów*. „Sejm kuleje, wydział krajowy bąki strzela, opinia publiczna bije się jak Marek po piekle, literatura kiśnie, oświata podupada, drogi się psują, a cały kraj cierpi.“

Sztuka. Konserwator zabytków starożytnych wschodniej Galicyi, Dzieduszycki wydał odezwę do duchowieństwa, aby bez niego nie dokonywano żadnych odnowień po kościołach i cerkwiach. Znajdują się w nich bowiem bardzo często cenne pomniki historyczne, które nieświadomi rzeczy restauratorowie niszczą i szpecą. Konserwator oznajmia przytem, że będzie dawał zapomogi na wszelkie odświeżenia dopełniane z jego wiedzą.

Literatura Czeska. Na konkursie dramatycznym w Pradze czeskiej z 17 nadesłanych sztuk nie nagrodzono ani jednej. Zalecono tylko do grania komedyę A. H. Sokola p. t. *Staryvlastenec* (patryota).

Nekrologia. Znakomita powieściopisarka angielska Marya Evans, która zasłynęła w literaturze pod pseudonimem *George Elliot*, zmarła przed tygodniem. W wychowaniu jej brali niemały udział osobisty angielscy uczeni, jak Herbert Spencer, John Stuart Mill i Henry Lewes, którego następnie poślubiła. Powieści jej, niejednokrotnie tłomaczone na język polski, są utworami pierwszego rzędu.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 18 декабря 1880 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.